

W NUMERZE: Czy można produkować warzywa? – rozmowa z prof. Zbigniewem Gertychem ■ Jaki jest „Polonez”? – reportaż z FSO ■ Nagrody „Rubinowej Hortensji” – wiersze i proza ■ Pierwszy reportaż z Włoch – czyli „Umrzeć na własny widok” ■ Jak powstaje trasa W-Z? – ludzie i zdarzenia ■ Felietony ■ „Magazyn Kulturalny”

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



kódź

NR 24 (1070) ROK XXI

11 CZERWCA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



PAWEŁ TOMASZEWSKI

„POLONEZ” – NOWY ROZDZIAŁ W HISTORII MOTORYZACJI

— Czy to już FSO? — zapytałem kierowcy pośpiesznego autobusu „H”, gdy zobaczyłem po obu stronach Al. Stalingradzkiej długi rząd fabrycznych budynków.

Tak, ale jeśli pan do dyrekcji, to trzeba wysiąść dopiero na następnym przystanku. Po prawej stronie będzie taki biurowiec z dwoma „Fiatami” na dachu. To tam.

I rzeczywiście, po przejechaniu jeszcze kilkuset metrów ujrzałem dwa naturalnej wielkości „Fiaty 125 p” umieszczone na dachu czteropiętrowego budynku. Obok nich — znak firmowy żerańskiej FABRYKI SAMOCHODÓW OSOBOWYCH. Bez trudu odnalazłem pokój Służby Informacyjno-Serwisowej, której głównym zadaniem w przedsiębiorstwie jest współpraca z przedstawicielami środków masowego przekazu.

— Inaczej nie dalibyśmy sobie rady — tłumaczy mi jeden z jej pracowników — Andrzej Uszyński. — Pan wie ilu dziennikarzy tu do nas przychodzi, a szczególnie ostatnio, gdy rozpoczęliśmy produkcję „Poloneza”? Pan pewno też w tej sprawie, co? Prawdziwie urwanie głowy! Dostanie pan specjalnie przygotowa-

ne materiały o „Polonezie” — tam pan wszystko znajdzie.

— Wszystko? — zdziwiłem się. — Chciałbym bliżej poznać waszą fabrykę, zobaczyć, jak robi się samochody, pofotografować...

Załatwienie formalności związanych z moim wejściem na teren FSO trwało chyba jakieś pół godziny.



Wreszcie skrupulatnie wylegitymowany przez Straż Zakładową znalazłem się za bramą żerańskiego giganta. Towarzysząca mi w charakterze przewodnika i anioła stróża Ewa Gorzko proponuje byśmy zaczęli od zakładu nr 6, gdzie między innymi montuje się silniki do „Poloneza”. Będą one aż w pięciu wersjach o dwóch wielkościach pojemności skokowej: 1300 i 1500 cm. Podstawowe, przewidziane na pali-

wo wysokooktanowe (94) dawać będą moc 65 względnie 75 KM. Odpowiednie wersje tych silników, umożliwiające eksploatację na paliwie o niższej liczbie oktanowej (78) mieć będą odpowiednio moc 60 i 70 KM. Poza tym silnik 1500 o mocy podwyższonej do 82 KM posiadający nieco inny wałek rozrządowy i tłoki, a

wiedziałem — wynosi prawie 200 metrów, a powierzchnia — bagatela — 3,8 hektara. Pod sufitem podwieszonych linie przenośników przesuwających się na długiej szynie od stanowiska do stanowiska. Linia montażu silnika ma tych stanowisk kilkanaście, na każdym z nich dokonuje się jednej czynności wzbogacającej wiszący na podnośniku silnik o nowy element.

— O, tutaj łączy się tłoki korbowodem, potem ładuje korbowód, a następnie na kadłubie odbija się numer silnika — wyjaśnia mistrz — Jan Baran. — Dalej następuje zaślepienie otworów magistrali olejowej, montaż tłoków, wału korbowego i wałka rozrządu. Jeszcze dalej — montaż pompy i miski olejowej, koła zamachowego, głowicy, zespołu dzwigniek pompy wodnej... — i w tym momencie pogubiłem się z notowaniem.

Przenośniki wędrują po szynie z różną szybkością w zależności jak bardzo napięty jest plan. Średnio na godzinę pracujących tu 45 robotników montuje 30 sztuk silników, które trafiają stąd na drugą taśmę —

NOWOCZESNOŚĆ NA KAŻDYM KROKU

Wchodzimy do ogromnej hali, której długość — jak się później do-

KRÓLOWA BEZ TRONU

KONRAD TUROWSKI

Za pierwszym razem nie powiodło się. Nawierzchnia nawet nie drgnęła. Inżynier Nawocki zasłaniał się pogodą. W czwartek 18 maja 1978 r. przed południem rzeczywiście trochę padało. Naboje mogły namoknąć choć rekomendowane, są jako wodoodporne. Dopiero po starannym rozmieszczeniu ładunków w głębokich otworach gęsto wywierconych jeden obok drugiego, w sobotę o godzinie 11.15 wyleciał w powietrze pierwszy fragment jezdni na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i Głównej. Inżynier Jan Dziadek mówił, że kawałki granitowych kostek poleciały aż pod „Central”.

— Chodziłem z teczką i zbierałem, aby nie się nie zmarnowało — poinformował zaimprowizowaną anegdotę naczelny inżynier Kombinat Robot Drogowych.

„BURZYCIEL” ŁODZI

Inż. Andrzej Nawocki nie śmieje się z takich żartów. Przy zbiegu Kilińskiego i Głównej wysadzał magazyny „Filmosu”, gdy z posesji przy ul. Kilińskiego 120, przybiegli przerażeni lokatorzy z krzykiem, że dach wali im się na głowę. Siedli do obładu, a tu nagle cegła przebiła sufit i wałęsa w środek stołu. Talerze pospadały, zupa się wylała, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Później, jak wysadzali dom przy ul. Wólczańskiej 129, sam dopińował, aby mieszkający po sąsiedzku pp. Matuszewscy zdjęli obrazy, a serwis w kredensie poowijał obrusami. 90-letnia babcia Tomczakowa cały dzień spędziła wtedy w portierni pobliskich zakładów, bo bała się wrócić do mieszkania, nim inżynier nie dał gwarancji, że już po wybuchach i nikomu nic nie grozi. Czy jednak wszystko można przewidzieć? Właśnie Tomczakowie mieszkający na pierwszym piętrze przy ul. Wólczańskiej 127 spostrzegli po wyburzeniu przyległego budynku, że szafa wpuszczona w ścianę jakos dziwnie prześwituje. Niewiele brakowało, aby wraz z garderobą wypadła na ulicę...

Dalszy ciąg na str. 6

Dalszy ciąg na str. 7

DECYDUJĄCE OGNIWO: PRACA

Po raz drugi w ostatnich trzech latach łódzka instancja partyjna debatowała nad zagadnieniem racjonalnego gospodarowania zasobami pracy. Intensywny rozwój społeczno-gospodarczy powoduje stały wzrost roli i znaczenia czynnika ludzkiego w procesie pracy. Ponadto problem ten na terenie miejskiego województwa łódzkiego ma swoją specyfikę. Składa się na nią m.in. najwyższa w kraju aktywność zawodowa kobiet (80 proc. przy średniej krajowej 56), wyższy o 2 procent od średniej krajowej udział ludności w wieku produkcyjnym (tj. ok. 20 tys. osób), stosunkowo wysoki przeciętny wiek zatrudnionych w gospodarce, co powoduje wcześniejsze przechodzenie na emeryturę i renty (2,8 proc. — w kraju 2,0 proc.).

Polityka socjalna państwa, stwarzająca warunki do stałej poprawy bytu obywateli, powoduje silną rzeczową zmniejszenie aktywności zawodowej. Zwiększenie liczby młodzieży obje-

tej nauka w szkołach średnich, policealnych i wyższych powoduje, że — wprawdzie lepiej przygotowani — lecz później rozpoczynają pracę zawodową. Podobnie uelastycznienie systemu emerytalnego, wprowadzone udogodnienia dla kobiet i pracujących matek, powodują ubytki naturalnego zatrudnienia. Szybki rozwój gospodarczy sąsiednich województw (m.in. Bełchatów) ogranicza także dopływ pracowników, jak miało to miejsce w przeszłości.

Wymienione wyżej czynniki powodują stale zmniejszenie zatrudnienia w gospodarce u społecznej województwa. I tak w 1978 roku zatrudnienie zmniejszyło się o 3,8 tys. osób, w 1977 — o 3,2 tys. osób. Jednak udało się w omawianym okresie zwiększyć zatrudnienie (o 2,3 tys. osób) w usługach, transporcie i rolnictwie, co świadczy o korzystnych zmianach w strukturze zatrudnienia.

Przedstawiona powyżej sytuacja nakazuje konieczność dal-

szej racjonalizacji struktury zatrudnienia, zwiększenia efektywności pracy. Przed wszystkim należy dążyć do dalszego zmniejszenia zatrudnienia w sferze produkcji materialnej (szczególnie w przemyśle i budownictwie), a więc w tych działach, w których istnieje największe możliwości zwiększenia wydajności pracy drogą postępu technicznego i modernizacji. Działalność na tym odcinku wymaga ściślejszego powiązania z nauką, lepszego wykorzystania opracowań naukowych. Nadal istnieją rezerwy zatrudnienia w administracji gospodarczej. Obszerny kompleks spraw do załatwienia — to rozwiązanie problemu komplementowania załóg dla nowych i rozbudowanych zakładów pracy, m.in. przez równoległe zmniejszenie zatrudnienia w zakładach modernizowanych i kierowanie tą drogą wykształconych nadwyżek do nowych zakładów. Również polityka zatrudnienia absolwentów różnych typów szkół wymaga

spójrzania całościowego. Nadal sprawa pierwszoplanowa jest maksymalne wykorzystanie czasu pracy, poprawa dyscypliny, ograniczenie nadmiernej fluktuacji i racjonalne wykorzystanie kadr z najwyższymi kwalifikacjami.

W referacie wygłoszonym na Plenum przez I sekretarza KŁ, Bolesława Koperskiego, wszystkie te problemy znalazły odpowiednią wykładnię i obszerną egzemplifikację. Wskazano w nim na range sprawy i jej złożoność, dokonano obiektywnej analizy przyczyn i skutków postępującego niedoboru rąk do pracy, a także wskazano na istniejące jeszcze rezerwy kadrowe. Referat I sekretarza jak i dyskusja na Plenum wykazały niezbicie, że najważniejszym źródłem pozyskania kadry pracowniczej są i będą w przyszłości ujawnione rezerwy. Z tej obiektywnej przesłanki wynika dla aparatu gospodarczego i administracyjnego, dla wszystkich instytucji i organizacji partyjnych trudne

i złożone zadanie: nie kampanijnie lecz stale analizować sytuację i podejmować odpowiedzialnie decyzje organizacyjne i kadrowe.

W ocenie ostatniego Plenum KŁ intensywna modernizacja łódzkiego przemysłu powinna przynieść lepsze efekty w zakresie wzrostu wydajności pracy. Świadczy o tym fakt, że w 38 przedsiębiorstwach przemysłowych i 16 budowlanych przekroczone stany zatrudnienia (w sumie ok. 1,6 tys. osób), aby wykonać planowane zadania. Pracownicy ci powinni znaleźć się w nowo wybudowanych zakładach. Także mimo podejmowania wielu działań w tym zakresie nie udaje się opanować wzrostu zatrudnienia w grupie pracowników administracyjno-biurowych. Np. w przemyśle w ostatnich 3 latach zatrudnienie ogółem zmniejszyło się o 1,2 proc., natomiast w administracji wzrosło o 3,4 proc.

Dyskusja na Plenum wykazała, że aktyw polityczny i go-

spodarczy doskonale rozumie, że etap wykorzystywania „potencjału” rezerw w zatrudnieniu mamy już za sobą, że istnieje potrzeba kompleksowego i wszechstronnego rozwiązywania problemu racjonalizacji zatrudnienia na wszystkich szczeblach zarządzania i odcinkach wykonawczych, że istnieje wiele styków i „owiazów” omawianego problemu z całokształtem życia społecznego łódzkiej aglomeracji. O tych wszystkich zagadnieniach mówili przedstawiciele przedsiębiorstw, dyrektorzy i sekretarze organizacji partyjnych, pracownicy nauki i oświaty, organizacja młodzieżowa. Mówiono o sukcesach i istniejących przeszkodach, dzielono się doświadczeniami i zgłaszano postulaty. Z troską o to nasze największe dobro, jakie posiadamy: ludzką pracę,

(J.W.)

PIĘKNY DAR POLSKICH ARTYSTÓW

W niedzielę 4 czerwca, w ostatnim dniu X Łódzkiej Wiosny Artystycznej — odbyła się w Łodzi tradycyjna już impreza pn. „NIEDZIELA W MUZEUM SZTUKI”, której ton zdominowało w tym roku wydarzenie o najwyższej randze artystycznej i politycznej. Podczas „Niedzieli” otwarto bowiem wystawę 53 dzieł współczesnych artystów polskich, ofiarowanych Międzynarodowemu Muzeum im. Salvadora Allende.

Wystawa ta — jak stwierdził w jej katalogu dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi Ryszard Stanisławski — „jest świadectwem żywej i spontanicznej woli artystów polskich zmanifestowania swej solidarności z narodem chilijskim. Jest jednym z ogniw międzynarodowej akcji kontynuowanej do dziś przez postępowe środowiska artystów w wielu krajach świata, sięgającej początków demokratycznych rządów Salvadora Allende w Chile”.

O narodzinach Muzeum pisze w tymże katalogu Sekretarz Muzeum im. Allende, była osobista sekretarka Prezydenta Miria Contreras: „W rok po triumfie wyborczym Salvadora

Allende, artyści całego świata zechcieli zmanifestować swoje poparcie dla procesu liberalizacji, którą usabiał Front Ludowy, ofiarowując swe dzieła ludowi Chile. W okresie niewiele dłuższym niż rok — od 1972 do 1973 — do kolekcji tej, zwanej „Muzeum Solidarności”, napłynęło blisko tysięcy dzieł, pochodzących ze wszystkich zakątków świata... A w momencie puczu dzieła nadchodzący nadal, taka jest bowiem solidarność artystów. Zamach stanu przerwał brutalnie ten gest, unikalny w kronikach historii sztuki. Jak za najlepszych czasów hitlerizmu, milicyjni fetowali przejście władzy pałac książęcy i niszczyli zbiory. Wiele dzieł z „Muzeum Solidarności” poległo w ten sposób podobnie jak starzy kombatanci, inne zostały skradzione, jak łupy wojenne. Jeden Miro, przechwycony, wisł dziś na ścianie jadalni pewnego generała. Jeden mobil Caldera, milczący, kołysze się w ogrodach jakiegoś pułkownika. Budynek, który był siedzibą Muzeum, przekształcono w koszary...”

Jednak akcja tworzenia muzeum nie została przerwana, a przeciwnie: jest w zmienionej sytuacji politycznej, po zamor-

dowaniu Prezydenta Allende, nadal żywa i — jak zauważył dyr. R. Stanisławski — jeszcze bardziej porównująca. Przewadza ją Komitet Solidarności z Narodem Chilijskim w różnych stronach świata — Sekretariat Muzeum mieści się tymczasowo w Hawanie. Sekretariat Muzeum im. Allende zamierza przygotować międzynarodową wystawę darów, która pokazywana w różnych krajach, stanowiłaby dowód poparcia i solidarności postępujących artystów świata z walką narodu chilijskiego. Warto tu przypomnieć, że jako jeden z pierwszych w świecie powstał Polski Komitet Solidarności z Narodem Chile, do którego przystąpiły wszystkie masowe organizacje społeczne kraju. Na forum ONZ, UNESCO, Międzynarodowej Organizacji Pracy i innych instytucji światowych Polska była i jest wśród najgorętszych rzeczników sprawy Chile. Natomiast w roku 1978 do solidarnościowej akcji tworzenia Muzeum, przyłączyli się polscy artyści.

Z projektem utworzenia polskiej kolekcji dla Muzeum im. Allende wystąpiło łódzkie Muzeum Sztuki przy poparciu władz polskich. Na apel Muze-

um odpowiedziało 44 wybitnych polskich malarzy, grafików, rysowników i fotografików, a wśród nich tacy twórcy, jak Henryk Stażewski, Tadeusz Kulisiewicz, Tadeusz Kantor, Jerzy Nowosielski, Janusz Stern, Andrzej Strumiłło, Andrzej Pietsch, Zbigniew Gosłowski i inni, a także grupa artystów zamieszkałych i tworzących w Łodzi: Stanisław Fijałkowski, Wiesław Garboliński, Ryszard Hunger, Barbara Szajdzińska-Krawczyk, Jerzy Krawczyk, Lech Kunka, Benon Liberski, Andrzej Sadowski, Grzegorz Sztabiński, Ireneusz Pierzgałski i Antoni Starzewski. Powstał piękny, reprezentatywny zbiór 53 dzieł, świadczący o zaangażowaniu polskich artystów. Po raz pierwszy został on zaprezentowany w całości w dniu 4 czerwca br., zaś przedstawicielom Muzeum im. Salvadora Allende przekazany zostanie podczas XI Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Hawanie.

Na uroczystość otwarcia wystawy polskich darów przybyła do łódzkiego Muzeum Sztuki grupa emigrantów chilijskich z sekretarzem wykonawczym Jedności Ludowej Chile — Clodomiro Almeyda-Medina. Obecni byli przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych Łodzi z sekretarzem KŁ PZPR Z. Falińskim i prezydentem m. Łodzi J. Loren-

sem, zastępca kierownika Wydziału Prasy, Radia, i Telewizji — Z. Marzec, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — J. Trzcinski, dyrektor Departamentu Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Kultury i Sztuki — J. Chabelski, przewodniczący Polskiego Komitetu Solidarności z Narodem Chile — poseł na Sejm PRL, pisarz i publicysta — E. Osmańczyk, artyści, działacze społeczno-polityczni i kulturalni. Zebranych powitał i zapoznał z ideą Muzeum im. Allende dyr. Muzeum Sztuki w Łodzi R. Stanisławski. Za dar artystów podziękował C. Al-

meyda-Medina, podkreślając, że jest on świadectwem sympatii i solidarności z narodem chilijskim w momencie, gdy przeżywa on tak tragiczny w swej historii okres. W uroczystości obecny był również światowej sławy pisarz argentyński Julio Cortazar. Jego wypowiedź oraz fotoreportaż z otwarcia wystawy „Artyści polscy Międzynarodowemu Muzeum im. Salvadora Allende” opublikujemy za tydzień w „Magazynie Kulturalnym”.

TOMASZ SOLDENHOFF

NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU ZLP W ŁODZI

W poprzednim numerze zamieściliśmy notę informacyjną o wyborze nowych władz Oddziału ZLP w Łodzi, na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym w dniu 28 maja 1978 r. W dniu 31 maja, na pierwszym posiedzeniu ZO ZLP ukonstytuował się następująco — prezes: Jerzy Wawrzak, wiceprezesi: Włodzimierz Krzemieński i Władysław Orłowski, sekretarz: Jerzy Urbankiewicz, skarbnik: Honorata Chrościelewska. Członkami zostali: Andrzej Makowiecki, Bogdan Pasternak, Jerzy Rzymowski i Ziemowit Skibiński. Komisja Rewizyjna swoim przewodniczącym wybrała Jana Huszcę, a Sąd Koleżeński — Horacego Safrina.

PRZED REFORMĄ

Każdy system szkolny starzeje się po upływie 10–15 lat. Zmniejsza się z biegiem czasu jego społeczna skuteczność, zwiększa się dystans między jakością wiedzy wynoszonej ze szkoły, a wymogami ogólnego rozwoju, odbywającego się w erze burzliwego procesu przeobrażeń we wszystkich sferach ludzkiej działalności. Ow narastający kryzys objęto ogólną nazwą oddalania się szkoły od życia.

W toku ogólnonarodowej dyskusji odbywającej się w trakcie gromadzenia dokumentów do „Raportu o stanie oświaty w PRL” poddano szerokiej i obiektywnej, ale także i krytycznej analizie stan polskiej oświaty. Dostrzeżono w niej wiele anachronizmów i niedostatków. W konsekwencji podjęto postępową i demokratyczną decyzję, zgodną z wolą i interesem narodu — zreformowania systemu edukacyjnego w Polsce. W centrum reformy znalazła się powszechna 10-letnia szkoła ogólnokształcąca. Jesteśmy w przededniu urzeczywistnienia tej wielkiej idei: za trzy miesiące pierwsi uczniowie rozpoczną naukę w zreformowanej szkole. Ten doniosły moment poprzedziło wiele miesięcy wyjątkowej pracy, starań, zabiegów i przygotowań pracowników oświaty w całym kraju, w tym również w województwie miejskim łódzkim. W Łodzi poświęcono tej problematyce nader interesującą i pozytywną wystawę — trwałą w dniach 19.V–3.VI w gmachu Szkoły Podstawowej nr 42 im. Stanisława Staszica — pn. „Stan oświaty w dzielnicy Łódź-Górna u progu reformy systemu edukacji narodowej”.

„Szkoła jutra tkwi w tej, jaką mamy dziś” — powiedział przy jednej z okazji min. Jerzy Kuberski. Jaką mamy tę szkołę dziś, obrazowała ekspozycja poświęcona specjalnie klasom I–III, zreformowanej szkole średniej. Zwróciły naszą uwagę przede wszystkim telewizory kolorowe, rzutniki pisma, magnetofony i radiodźwięki stereo, a nawet telewizja wewnętrzna. Nie brakowało też instrumentów muzycznych z pianinem włącznie oraz sprzętu sportowego. Pomocno, które bawią i zabawki, które uczą — tak bym określił tę wystawę na Górnej. Przyciągały wzrok, już samym swym wyglądem, zachęcały by je wziąć do ręki. Obok kosztownego wyposażenia pokazano też moc drobiazgow,

ale jakże przydatnych w nauczaniu początkowym. Większość z nich wykonali sami nauczyciele i uczniowie klas starszych. Były więc: ruchome i obrazkowe alfabety, obrazki i kločki ułatwiające naukę czytania, domina obrazkowe, przeróżne układanki i rozsypanki, przeźroczka i książki. Wśród pomocy do matematyki — kolorowe kločki logiczne, geometryczne lamigłówki konstrukcyjne, tzw. mini-komputery, geoplany, kločki arytmetyczne, kolorowe fazogramy do nauki o ziorach i wprowadzania pojęć liczbowych... Wystawę wzbogacało wiele plansz z wykresami, zdjęciami i tablicami obrazującymi stan oświaty i zamierzenia na przyszłość w tej dziedzinie w całym województwie i w dzielnicy Górnej. Chętnych do obejrzenia wystawy nie brakowało. Zwiędzili ją przedstawiciele łódzkich władz partyjnych, administracyjnych i oświatowych, dyrektorzy szkół, nauczyciele, rodzice, a nawet dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym.

W jednej z sal wystawy pokazano klaso-pracownię do zajęć z nowego przedmiotu: „Środowisko społeczno-przyrodnicze” pod hasłem: nauka-praca. Wyposażono ją, m. in. w kompletne zestawy zminiaturyzowanych narzędzi do obróbki drewna, dostosowanych do poziomu rozwoju uczniów klas młodszych, a także w zestawy do ćwiczeń z podstaw mechaniki i elektrotechniki, komplet pomocy audiowizualnych z projekтором do filmów dźwiękowych włącznie!

W gabinecie terapii nie brakowało chyba żadnej, dostępnej w sklepach, kształcącej zabawki i książki dostosowanej do wieku ucznia. I znów nowoczesny, kosztowny sprzęt pomocniczy: wszelkie możliwe urządzenia audiowizualne, dziesiątki bardzo pomysłowych pomocy przeznaczonych do pozalekcyjnych zajęć dydaktyczno-wyrównawczych z dziećmi z tzw. deficytami rozwojowymi. Tu, pod opieką specjalnie przygotowanego pedagoga prowadzi się zajęcia reedukacyjne mające na celu wyeliminowanie trudności w czytaniu i pisaniu, w czynnościach manualnych, korekcyj wad wymowy, łagodzeniu zaburzeń emocjonalnych i innych. W niewielkich grupkach od 3 do 10 uczniów możliwe jest efektywne indywidualizowanie procesu terapii. Właśnie dzieciom z mikrodefektami, których w każdej szkole jest przeciętnie 15 procent, indywidualna opieka nauczyciela jest najbardziej potrzebna.

Na lekcjach pokazowych odbywających się w Szkole Podstawowej nr 42 podczas trwania wystawy były obecne nauczycielki klas młodszych ze szkół województwa łódzkiego, obserwując i przyswajając sobie sposób wykorzystywania zgromadzonych tu pomocy naukowych zapoznawały się z nowoczesnymi metodami nauczania i nowymi treściami programowymi. W ramach wystawy odbyła się sesja popularno-naukowa, na

której o modernizacji treści nauczania w klasach I–III miał wykład jeden z głównych autorów nowej koncepcji nauczania początkowego — doc. dr hab. Ryszard Więckowski z Instytutu Programów Szkolnych Min. Oświaty i Wychowania. O nauczaniu nowego przedmiotu: „Środowisko społeczno-przyrodnicze” mówił współautor programu i podręcznika — dr Marian Leleonek.

Jestem pełen uznania dla inicjatorów i realizatorów tego oryginalnego i wielce pożytecznego przedsięwzięcia, jakim była wystawa i towarzyszące jej imprezy. Nękał mnie jednak niepokój, czy aby — mimo tych wszystkich wspaniałości, które tutaj pokazano — nie wyłonią się jakieś nieprzewidziane trudności. Rozwiał go mgr Roch Kopacki, inspektor oświaty i wychowania dzielnicy Łódź-Górna — główny inicjator wystawy:

„Przygotowania do reformy rozpoczęliśmy już sześć lat temu. Dążyliśmy przede wszystkim do wyrównania poziomu pracy wszystkich szkół dzielnicy, właściwego przygotowania kadry nauczycielskiej i modernizacji bazy materialnej placówek oświatowych. W bieżącym roku szkolnym 90 proc. wydatków pochłonęło wyposażenie klas pierwszych. W przyszłym roku skoncentrujemy się na modernizacji klas drugich. Sukcesywnie wprowadzanie reformy pozwoli nam na stopniowe zaopatrywanie wszystkich klas 10-latkę w potrzebny sprzęt i pomoce naukowe. Wyposażenie przedszkoli już dziś oceniamy w 85 proc. jako bardzo dobre.

Równie ważnym, jeśli nie najważniejszym, warunkiem powodzenia reformy jest poziom kadry nauczającej w 10-latkę. Liczby są imponujące: tylko w roku szkolnym 1975/76 z różnych form kształcenia zawodowego korzystało blisko 3.000 nauczycieli z województwa łódzkiego, w tym 431 na studiach uniwersyteckich”.

Dużym sukcesem polityki oświatowej ostatnich lat było nadanie należytej, wysokiej rangi nauczaniu początkowemu. Istotnie, najmłodsze lata dziecka decydują o jego całym dalszym rozwoju. Z otrzymanych informacji wynika, iż spośród 75 nauczycieli Górnej, którzy w nadchodzącym roku szkolnym rozpoczną pracę z klasami pierwszymi, 28 ukończyło studia wyższe, pozostali zaś to absolwenci SN, uczestniczący w tzw. samokształceniu kierowanym.

Ogólny stopień przygotowania do reformy władze oświatowe dzielnicy Górna uznają za dobry lub bardzo dobry. Życzymy wszystkim pracownikom oświaty takich samych wyników w pracy.

P.P.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIK, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

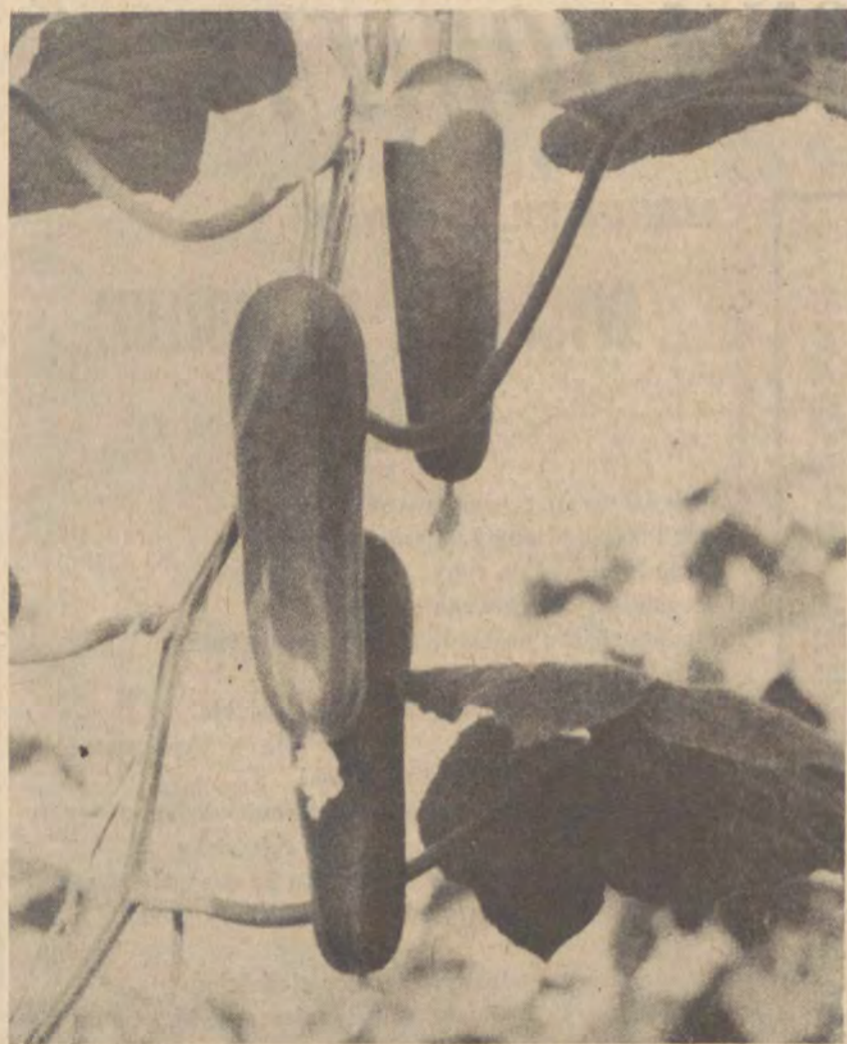


Foto: W. Parys

WARZYWA Z TAŚMY

Rozmowa z profesorem ZBIGNIEWEM GERTYCHEM
— dyrektorem Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach

Przed trzema laty pisaliśmy na łamach „Ogłosów” o problemach związanych z rozwojem warzywnictwa. W ostatnim czasie dało się zauważyć zmiany na korzyść w zaopatrywaniu rynku w warzywa, chociaż tego roku w Łodzi dość późno pokazały się nowaliki. Chcielibyśmy powrócić do tematu warzywnictwa. Stąd moje pierwsze pytanie: — Co zmieniło się w warzywnictwie w ciągu trzech ostatnich lat?

— Zmieniło się wiele. Może najlepiej wielkość zmian w uprawie warzyw wczesnych zilustruje fakt, że w 1972 roku jeden mieszkaniec miasta w Polsce spożywał 0,8 kg warzyw, a obecnie spożywa 3 kg. Warto tu jeszcze zwrócić uwagę i na to, że pierwotnie planowano, iż taką wielkość spożycia warzyw osiągniemy dopiero w latach 1979—1980. A więc i tu mamy do czynienia z przyspieszeniem realizacji naszych planów.

— Stało się to możliwe dzięki szybkiemu budowaniu szklarni. — Sprowadziłam, realizując decyzje władz partyjnych i państwowych, szklarnie w Bułgarii i sprowadzamy nadal ze Związku Radzieckiego. Powstała tam fabryka szklarni, której zdolność produkcyjna wynosi 800 ha szklarni rocznie. Z tej fabryki sprowadzamy konstrukcje i urządzenia dla kompleksu szklarni, jakie wybudowano i buduje się w Pszczynie. Dzięki importowi szklarni mogliśmy szybko spełnić zadanie utworzenia wielkich kombinatów warzywniczych, co spowodowało zmianę jakościową w naszym warzywnictwie.

— Na czym ta zmiana polega? — Swego czasu w naszym warzywnictwie podstawowe szklarnie miały powierzchnię pokrytą szkłem wielkości 400 m kwadratowych. Szklarnia o powierzchni 1 ha była uważana już za dużą. A gigantami wydawały się szklarnie pod Kalszem, gdzie pod szkłem w kilku miejscach było łącznie 3 ha ziemi, albo inna szklarnia pod Poznaniem, gdzie pod szkłem było 5 ha.

— A teraz? — Teraz przyjęliśmy jako podstawowy model szklarnie sześciokątne. To znaczy, że takie szklarnie mogą być powtarzane, składając się na kompleksy szklarniowe.

— Do jakiej wielkości? — Uznaliśmy, że średnia wielkość powinna wynosić 30 ha. Jest to pięciokrotnie powiększony model szklarni sześciokątnej. Przyjęliśmy, że nasze kompleksy szklarniowe powinny mieć pod szkłem od 24 do 36 ha.

— Czy zdarzają się większe szklarnie? — Tak, w Związku Radzieckim, niektóre gospodarstwa mają do 100 ha upraw pod szkłem. W Rumunii nawet do 200 ha.

— Poza uprawą wczesnych warzyw w szklarniach wiele mówi się o możliwości i potrzebie uprawy warzyw pod folią, w tunelach foliowych czy też z zastosowaniem folii perforowanej. Ale — jak pamiętam —

przed trzema laty był kłopot z folią. Czy w tej dziedzinie też zmieniło się na lepsze?

— Może najpierw o samej uprawie warzyw pod folią. Poza uprawą warzyw w szklarniach zalecaliśmy również uprawę warzyw w tunelach foliowych ogrzewanych i nieogrzewanych oraz z zastosowaniem folii perforowanej. Dziś patrzymy trochę inaczej na te sprawy. Mianowicie praktyka wykazała, że uzyskuje się takie samo przyspieszenie w tunelach foliowych nieogrzewanych, jak i z zastosowaniem folii perforowanej. Różnica jest natomiast w kosztach. Budowa tunelu nad 1 metrem kwadratowym powierzchni ziemi kosztuje od 300 do 400 złotych. Przykrycie folią perforowaną 1 metra kwadratowego ziemi jest około 300 razy tańsze. Wniosek stąd chyba prosty.

— A co mają robić ci, którzy już mają tunele foliowe nieogrzewane? — Proponujemy zmianę uprawy roślin.

— Na jakie? — Proponujemy na przykład słodką paprykę, melony lub bakłażany.

— Wróć jeszcze do wcześniejszego pytania. Czy coś zmieniło się z samą folią? Czy można ją łatwiej dostać? Czy jest jej tyle, ile potrzeba?

— Jest niewątpliwie lepiej niż było, ale jeszcze nie tak, jak być powinno. Zależy to oczywiście od kilku czynników. Od przemysłu chemicznego i jego możliwości produkcyjnych. Od przedsiębiorstw folię rozprawiających. I od coraz szerszego zastosowania folii w wielu dziedzinach gospodarki. Im warzywnictwo ma więcej konkurentów używających folię, tym jej mniej dostaje.

Ogrodnictwo dostaje folię w ilościach jeszcze niedostatecznych i, na ogół dostaje ją późno. W tym roku niektóre tunele przykryto przynajmniej o miesiąc później niż było trzeba. A zatem wczesne warzywa później dotarły na rynek. Ogrodnictwo zwiększa ilość warzyw uprawianych pod folią. Rocznie przybywa przynajmniej 100 ha upraw z wykorzystaniem folii. A teraz, kiedy proponujemy zastępowanie tuneli foliowych nieogrzewanych folią perforowaną zapotrzebowanie na nią wzrosło jeszcze bardziej.

— W tym roku Łódź otrzymała szklarniowe pomidory dość późno. Jaka mogła być tego przyczyna?

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Pracownicy Instytutu Warzywnictwa w Skierniewicach prosili się na konsultacje do różnych gospodarstw w całym kraju. Kłopotami ogrodników z Widzewa-Zdąży zajmował się ktoś inny. Ale mamy ogólny pogląd na opóźnienia występujące przy uprawie wczesnych warzyw i myślę, że przypadek ten mieści się w tych przypadkach, o których chcę powiedzieć.

Przed wszystkim ciepło. Wiosnę mieliśmy dość kapryśną i chłodną. Jeśli w tym czasie szklarnie nie otrzymają potrzebnego im ciepła z własnych kotłowni, to następuje zahamowanie w wegetacji roślin. A właśnie w tym czasie zdarza się, że przedsiębiorstwa ogrodnicze nie otrzymują dostatecznych ilości paliwa dla swoich kotłowni.

Druga sprawa. W szklarni, która miała 400 metrów kwadratowych można było co jakiś czas wymieniać ziemię. Teraz, kiedy są to hektary przykryte szkłem robić tego już nie można. A rzecz polega na tym, że po latach ilość patogenów w glebie jest taka, że zbiory spadają o 70 procent. Jeśli na przykład na początku z metra kwadratowego zbiera się 10 kg pomidorów, to po 4 latach tylko 3 kg.

— Czy można temu przeciwdziałać? — Trzeba temu przeciwdziałać. I w tym celu proponujemy parowanie gleby. Nie tylko zresztą proponujemy metodę, ale i urządzenia niezbędne do jej stosowania. W szklarniach bułgarskich bowiem do gleby nie dochodziła para o odpowiednich parametrach. Wspólnie z Instytutem Budownictwa i Mechanizacji Rolnictwa skonstruowano i zbudowano przegrzewacz, który został wypróbowany w naszym zakładzie w Przyborowie. Zamówiono tyle takich przegrzewaczy, aby każda szklarnia, która ma kotły importowane z Bułgarii mogła go otrzymać.

Nasi pracownicy, wspólnie z naukowcami z Belgii, opracowali też metodę chemicznego odkwaszenia gleby. Mamy już sprzęt niezbędny do tego oraz specjalnie przeszkoloną brygadę. Skuteczność tej metody jest stu procentowa. Uważamy, że trzeba te dwie metody stosować na zmianę. A jednocześnie trzeba również uprawiać w szklarniach nie tylko warzywa, ale i kwiaty. W szklarni powinno być do 25—30 procent kwiatów, a reszta — warzywa.

Poza tym zalecamy również odgradzanie roślin od podłoża. W tym celu trzeba podłożyć wyłożoną folią, na niej można położyć mieszaninę torfu z korą lub nawet samą korę. Proponujemy też uprawianie roślin w pierścieniach oraz instalowanie w ziemi rur do podgrzewania, co w sumie znacznie przyspiesza wegetację.

— Co Instytut Warzywnictwa proponuje dla tych, którzy uprawiają warzywa na polach?

— W naszym zakładzie w Guzowie opracowaliśmy wzór kompleksowo zmierzającej uprawy cebuli. Uprawia się ją tam na 106 ha. Wszystkie prace zostały zmechanizowane przez pielęgnację, aż po zbiór kombajnami, elektronicznie sterowane przechowywanie, a nawet pakowanie do sprzedaży. Opracowaliśmy podobne metody do uprawy marchwi i kapusty. W Rekowie prowadzi się prace nad zmechanizowaniem upraw roślin kapustnych. Wspólnie z Akademią Rolniczą w Poznaniu opracujemy mechanizację uprawy szparagów zielonych, gdyż szparagi białe trzeba niestety zbierać ręcznie. Pracujemy również nad uprawą skorzony.

— Są to wzory dla państwowych gospodarstw ogrodniczych, gdyż one dysponują odpowiednimi możliwościami.

— Nie tylko. Z wzorów tych mogą też korzystać duże gospodarstwa towarowe nie będące w gestii państwa, a więc indywidualni rolnicy czy ogrodnicy.

— Czy z tych wzorów korzysta już rolnictwo?

— Tak. W polowej uprawie warzyw dokonuje się taka sama ilośćowa zmiana, jaka dokonała się już w uprawach szklarniowych. Wyraża się ona nie tylko wielkością upraw, ale przede wszystkim ich zmechanizowaniem.

Z naszych wzorów korzystają już kombinaty ogrodnicze. Na przykład w Naramowicach uprawia się warzywa na 200 ha. Tyle samo ma pod uprawą warzyw kombinat w Strzykułach pod Warszawą. Pod Opolem uprawia się warzywa na 500 ha. Współpracuje z nami 10 PGR, w których wprowadza się zmechanizowane uprawy warzyw.

— Jak to mogą być wielkość u indywidualnych gospodarzy?

— Od 10 arów do hektara pod uprawą jednej rośliny. Przy takich wielkościach opłaca się już korzystać z kombajnu.

— Czy ogrodnictwo dysponuje wszystkimi typami potrzebnych maszyn?

— Jeszcze nie.

— To w takim razie cała wasza praca nad tworzeniem wzorów jest niekompletna.

— Jeśli nie będzie maszyn, to w przyszłości nie będzie warzyw. O tym wiemy wszyscy. Trzeba więc te maszyny niezbędne ogrodnictwu konstruować i budować, i tak właśnie postępujemy. Przyjęliśmy taką zasa-

de, że u nas powstają konstrukcje, w naszych warsztatach budowany jest prototyp, który następnie przechodzi do POM w Rawie Mazowieckiej, gdzie powstają już większe ilości maszyn.

— Ale to dopiero początek, a potrzeby będą większe niż możliwości POM w Rawie Mazowieckiej.

— Zdajemy sobie i z tego sprawę. W ubiegłym roku otrzymaliśmy pierwszą większą partię maszyn z Rawy Mazowieckiej. Teraz ten POM rozbudowuje się, myślimy więc o przekształceniu go w przedsiębiorstwo budowy specjalistycznych maszyn dla ogrodnictwa. Jednak nie tylko POM w Rawie Mazowieckiej będzie budował takie maszyny. Państwowy Instytut Maszyn Rolniczych w Poznaniu oraz fabryka w Strzelcach Opolskich przyjęły nasze sugestie i projekty adaptacji maszyn rolniczych dla potrzeb ogrodnictwa. Na początek powstanie 100 takich maszyn.

— Pamiętam, że jeszcze 3 lata temu były tylko 2 kombajny do zbierania kapusty. Czy teraz jest ich już więcej?

— Już jest kilkanaście. Sprowadzono też z zagranicy wiele innych maszyn specjalistycznych. Na przykład kopaczki do skorzony, kombajny do zbioru grochu i fasoli szparagowej.

— Są to jednak jeszcze ilości niewystarczające.

— Z pewnością. Jest to jednak początek. Jest w tym pewna prawidłowość. Chcąc spowodować ilościową zmianę w uprawach szklarniowych kupiliśmy zespoły szklarni w Bułgarii czy ZSRR. Teraz już pracujemy nad własnym prototypem. Powstaje polski prototyp szklarni zespolowej i szklarni wolno stojących. Współpracujemy przy tym z wieloma przedsiębiorstwami, jak na przykład z Instytutem Budownictwa Wiejskiego w Warszawie, fabryką „Mera — Poltek” w Łodzi, zakładami we Wrocławiu i Tychach. Mało tego, powstaje prototyp polsko-radziecki. Jedną wersją nowej szklarni będzie budowana w Skierniewicach, druga w ZSRR.

Podobnie wygląda sytuacja w mechanizacji prac w ogrodnictwie. Początek został zrobiony. Sprowadzamy teraz maszyny z zagranicy, co będzie miało skutek praktyczny nie tylko w tym sensie, że maszyn będzie więcej, ale i w tym, że ludzie nauczą się nimi posługiwać i zrozumieją, że bez maszyn nie ma postępu w uprawianiu warzyw. Potrzeba będzie tych maszyn więcej i będą musiały powstawać krajowe rozwiązania.

— Instytut warzywniczy zajmuje się również uprawą grzybów. Staje się producentami pieczarek.

— Zbudowaliśmy ogromną, największą na świecie pieczarkarnię, w pełni zautomatyzowaną, gdzie ręcznie będzie się tylko ścinać grzyby, bo tego nie da się już zmechanizować. Zajmujemy się również innymi grzybami, chcemy proponować nowe rodzaje grzybów, łatwych do uprawiania.

— Jak wielka będzie produkcja pieczarek?

— 5 tysięcy kilogramów dziennie, a jest to porcja dla 20 tysięcy osób.

— Kiedy rusza pieczarkarnia?

— W połowie czerwca tego roku.

— Coraz częściej używa się terminu: „produkcja warzyw”. Brzmi to trochę dziwnie, gdyż produkcja kojarzy się z wytwarzaniem przy pomocy maszyn i w dodatku seryjnie, na wielką skalę. Wydaje się jednak, że w warzywnictwie termin ten ma już pełne uzasadnienie.

— Najzupełniej. Przecież postępujemy się elektroniką, maszynami, a i wielkość uprawianych warzyw są już ogromne. Na przykład w Belchatowie, kiedy ruszy elektrownia, powstanie zespół 24 szklarni. Powstanie tam także wielkie gospodarstwo ogrodnicze, obejmujące około 300 ha upraw polowych.

— Jak zaawansowane są przygotowania?

— My ze swej strony zrobiliśmy już wszystko. Obecnie nasi pracownicy szkolą się w USA.

— Z przebiegu rozmowy wyłania się optymistyczny obraz naszego warzywnictwa.

— Nie wynika z tego jednak wcale, że my nie jesteśmy świadomi trudności i różnorodności przeszkód, jakie w tym rozwoju trzeba będzie przezwyciężyć i jakie się stale przezwycięża. Nasz Instytut, który również uprawia warzywa i dostarcza je na rynek, musi przecież być wzorem dla innych, spotyka się z wszystkimi tymi samymi trudnościami, z jakimi spotyka się każdy, kto uprawia warzywa. Pracujemy więc nie tylko nad nowymi metodami upraw, ale i nad tym, jak przezwyciężać trudności, na jakie napotyka ogrodnicy. Świadomość tych trudności i przeszkód pozwala nam lepiej przygotowywać nowe metody uprawiania warzyw. Są to bowiem metody niejako uodpornione już na występujące trudności. I to zwiększa ich skuteczność.

ADOLF PAWIŃSKI

Od kilku już lat pod auspicjami Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazuje się seria dzieł historycznych, opatrzone wspólnym tytułem „Klasyki Historiografii Polskiej”. Celem jej jest udostępnienie polskiemu społeczeństwu czytelnikowi dzieł, należących do trwałego dorobku polskiej nauki historycznej, książek trudnych dziś do osiągnięcia nawet w dużych naukowych bibliotekach, a mających znaczenie dla rozwoju naszego historycznego poznania i świadomości historycznej społeczeństwa. Wydawcy oraz redakcji serii chodzi o ukazanie szerokiej panoramy polskiej refleksji historycznej minionych wieków. W jej ogromnym, zróżnicowanym bogactwie. Niemal każdy przecięt z dawnych nurtów dziejopisańskich wniósł do naszej historycznej wiedzy coś nowego, jaśniejsze nowe konstatacje, jakieś nowe spojrzenia na niedostrzeżone dawniej zagadnienia, przyczyniając się do doskonalenia obrazu przeszłości, rekonstruowanego przez naukę historyczną.

Po pracach Szymona Askenazego, Michała Bobrzyńskiego, Wiktora Czernacka, Marcelo Handelsmana, Tadeusza Korzona, Władysława Smoleńskiego i Karola Szańochy — wcale duża jest lista autorów, których dzieła ukazywały się w serii „Klasyki Historiografii Polskiej” — otrzymaliśmy właśnie do ręki spory tom, który zastępuje na szczególną uwagę. Jest to dzieło Adolfa Pawińskiego zatytułowane: „Rządy sejmikowe w Polsce 1572—1795 na tle stosunków województwa kujawskiego”, ogłoszone w PIW-owskiej serii przez Henryka Olszewskiego (1978). Książka ta — jak akcentuje wydawca — należy „do najlepszych, najbardziej trwałych osiągnięć polskiej historiografii okresu zaborów”, zaś jej autor „zajmuje poczesne miejsce w gronie dawnych wybitnych twórców obrazu naszej narodowej przeszłości”.

Był A. Pawiński czołowym reprezentantem kierunku historiograficznego, określonego mianem warszawskiej szkoły historycznej i przez większą część swego życia był związany z Warszawą. Warszawiankiem wszakże nie był. Urodził się 7 maja 1840 r. w Zierzynie w rodzinie właściciela niewielkiej fabryki, ożenionego z córką ewangelickiego duchownego. Rodzina nie była zamożna, więc chłopiec jeszcze podczas nauki w gimnazjum w Piotrkowie borykał się z trudnościami materialnymi. W 1859 r. udał się na studia historyczne do Petersburga, potem przez krótki czas studiował w Dorpacie, by następnie wyruszyć do Niemiec. Tam kształcił się w Berlinie na seminarium nielawistycznym, w Europie historia Leopolda Rankego oraz innych renomowanych mistrzów. Z kolei udał się do Getyni, gdzie rozpoczął pracę pod kierunkiem słynnego wówczas, żywcem dla Polaków Geora Walza. Tutaj też uzyskał doktorat za publikowaną w 1867 r. niemiecką rozprawę z dziejów Włoch w XI i XII stuleciu. Dzięki poparciu Romualda Hubego A. Pawiński po powrocie do kraju otrzymał docenienie w warszawskiej Szkole Głównej. Po przekształceniu tej polskiej placówki naukowej w Cesarski Uniwersytet Warszawski z językiem wykładowym rosyjskim. Jako jeden z nielicznych polskich uczonych utrzymał się w katedrze, dzięki temu, że szybko obronił drugi doktorat, tym razem z historii Słowian Polskich, na Uniwersytecie Petersburskim. Został profesorem zwyczajnym warszawskiej uczelni, rozwinął wszechstronna działalność naukową-badawczą, dydaktyczną i organizatorską, snuł rozległe projekty badań i publikacji historycznych. Zrealizował je tylko w części: w połowie lat siedemdziesiątych zaczął zapadać na zdrowiu. Zmarł w Grodzisku pod Warszawą 21 sierpnia 1895 r. w wieku zaledwie 56 lat, w trakcie „realizowania wielu ambitnych zamierzeń na bliższą i dalszą przyszłość”.

Zł A. Pawiński w czasach niezmiernie trudnych dla polskiej kultury narodowej, dla polskiej historiografii. Był człowiekiem postawów umiarkowanych, przekonany zwolennikiem pozytywistycznego realizmu, pracy u podstaw, pracy organicznej. Stronił od jakiegokolwiek konspiracji, od wszystkiego, co mogłoby ścierać przesładowanie zabory. Swego politycznego lojalizmu nie posiadał jednak poza nieprzekraczalną granicę: nawet jego przeciwnicy, ludzie, którzy podobne postawy poddawali surowej krytyce, mieli do niego szacunek i dostrzegali ogromne znaczenie jego działalności inicjatorskiej, organizatorskiej, naukowo-badawczej. W jego autorskim dorobku, wśród liczących innych prac, znajdują się dwa dzieła zaisie monumentalne. Pierwsze, to wznowione właśnie „Rządy sejmikowe w Polsce”, które ukazały się po raz pierwszy równo przed czterdzięcioletnią laty, w 1888 r. Drugie, to „Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmku walnego 1374—1505”, wydane w 1895 r. Dzielnymi tymi zainicjował A. Pawiński badania nad instytucjami polskiego parlamentaryzmu, stając się pionierem poszukiwań, które zajmują poczesne miejsce w pracach współczesnej nam historiografii polskiej. Trudno sobie wyobrazić, jak ogromna byłaby nasza wiedza o roli sejmiku w życiu społecznym i politycznym dawnej Rzeczypospolitej, gdyby nie dzieła A. Pawińskiego! „Dziś, po ukazaniu się wielu mniejszych i większych prac dotyczących sejmikowania w dawnej Polsce — powiada H. Olszewski — po wydaniu drukiem wielu nowych materiałów, odnoszących się do dziejów szlacheckiego parlamentaryzmu — bez trudu można zauważyć na pozostawionym przez Pawińskiego płótnie smugi i cienie, ale większość jego też zachowała aktualność, oparłszy się krytyce naukowej. Nikt po nim nie ogarnął tak szerokiego pola badań”. To bardzo wiele, jeśli w kilkadziesiąt lat po śmierci uczonemu można to było powiedzieć o jego dorobku.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

ANDRZEJ F. GRABSKI

LAUREACI KONKURSU „RUBINOWA HORTENSJA”

MAREK BRASZCZYŃSKI

RADOMSKO, III

Dzień dobry
Na wstępie ostrzegam — dzisiaj jest mgła
Nie denerwujcie się autobus będzie za pięć minut
I nie przeklinajcie tego bajkopisarza spod 19
To nie że jeszcze leży w łóżku
On nie ma matury i na pewno źle skończy
Nie — nie jestem żagłówką
Ani tartakiem nad jeziorem ani zagadką
Nie jestem Buenos Aires i nie chcę nikogo zjadać —
Ta pustynia osiedla krwawi na przykład jak mój bok
Przepraszam za to fatalne porównanie
ale nie jestem również poetą
W każdym razie toczą każde ziarno człowieka
i staram się być dla was tolerancyjny
Wybaczam stylizację zwykłego coctail-baru
na angielski pub i wybaczam ciemne bramy wódki
nie wspominając już o ciemnych sprawach
które mylicie z metafizyką —
Niedługo będzie lato i można pojechać do Turcji
i wrócić ze złotem chociaż w najbliższym sklepie
jest cały „Złoty Stok”
Nie wymagajcie ode mnie za wiele
ja też mam swoje kłopoty
Na pewno noco zmieszają się z tą śmietaną
rozbitą na chodniku
a poza tym co sześć lat jakiś samobójca
i muszę szarpać nerwy a potem dementować wszelkie
plotki
Więc nie powinnaś płakać kobieto
Ja wiem że pamięć to rak mózgu
I doskonale pamiętam Izy Różewiczę
kiedy dowiedział się że nie ma bezpośredniego
pociągu do Paryża Więc głowa do góry
Wszystkim obiecuję zasadić na swoim ciecie
czarny kwiatek nekrologu
A ty chłopcze nie uciekaj pustą ulicą
To bezsensowne Przecież każda ulica
kończy się miastem a nie księżycem

ALEKSANDER MIGO

DOLINA PEWNEGO JEŹDZCA

gdy się lisy zwiędziały o jeźdźcu w dolinie
który na siwym koniu przejechał przez wzgórza
grają larum na rudo zwolują sokoły
i wsłuchują się nisko w słońca drzącą żyłę
czy pulsuje jak obraz czy też cichcem splywa
do mrówczych konstelacji
odstąpili go wszyscy w czas pisania wierszy
pierwszy ustąpił jeleni wparty w łono lasu
jak w krajobraz studzienny śliną zbrzytał olchy

JERZY NAWROCKI

RYTM KROKÓW

Pięła się na przekór sobie
lupkowym piarżyskiem —
stromym, oślizłym, mięsca-
mi przypominającym lusz-
czącą się skórę gada. Nawet
w maleńkiej sylwetce łatwo
z dała rozpoznać kobiecie: nig-
dy nie roztrąca światła ani
nie pada nań z hukiem. Ru-
chy cechuje płynne wyczeki-
wanie, kontemplacja szczegó-
łu, kropla niepewności.
Widział ją z dołu maleńką,
wiedział, że na szczycie ster-
czą pniki ściętych drzew.
Tam z pewnością zmierzala
po samotność — zmęczona i
bez plecaka. Ścieżka przed
nią miała jeszcze dwa wąskie
esy przez strzępki lasu i
poczuł złość, że przysionął mu
widok. Jeżeli idzie sama zna-
czy to, że samotność nie chce
lub nie będzie chciała. Coś w
niej peкло i tam, na górze,
zacznie śnić w sobie komus
czy czemuś nowe gniazdo.
Gra. Zwykła, zwyczajna,
znana. Nie bądź frajerem ani
filozofem. Nic się nie zmie-
nia. Czasem dostrzeżę się to
bardzo późno. Ale ty dostrze-
gasz to już dzisiaj. Samotny
mężczyzna nie szuka w re-
kreacyjnej miejscowości ko-
biety, by rozmawiać z nią o

truskawkach — zanotowałaś
to i kobieta o tym wie. Nig-
dy nie myśli o truskawkowej
rozmowie, wybierając ją.
Przynajmniej w moim miej-
skim środowisku, rzucanym
raz na rok w malowniczą o-
kolicę. Jeżeli okaże się inna,
pójdzie dalej. Od tego się
zaczyna. Można też naturalnie
nie odpowiadać kobiecie.
Wielkie teorie chciałyby ina-
czej. Nie powinno już od daw-
na pozostać w nas niczego
poza boskim rozsądkiem,
przynajmniej na wierzchu.
Ale tak nie jest. Jest zacie-
rajająca wszystko ciekawość.
Słońce lalo ścieżką w do-
linę potok ukropu, drzewa i
krzaki wzdłuż niej były jak
gąbczaste chłonne ślany ko-
ryta. Wysoko w górę nie do-
strzegł już nikogo. Brunatne
pasmo przyłoniło wybrzusze-
nie terenu.

Wchodziła pod górę, wsłu-
chując się w siebie. Czy nie
odezwe się w niej prowoko-
wane, nie zrezygnuje i nie
wypadnie, nie wysłizgnie się
z niej to, o czym wciąż nie
chciała wiedzieć na pewno.
Chwilami wiskala brodę w
szczyt mostka i spoglądała
między piersiami ku stopom.

Już po raz czternasty rozdano nagrody i wyróżnienia w kon-
kursie literackim o „Rubinową Hortensję”. Niektóre utwory
nimi obdarzone przedstawiamy naszym Czytelnikom. Działacze
piotrkowski opiekujący się od lat imprezą, która stała się
niejako wizytówką kulturalną miasta, z uzasadnioną satysfakcją
podkreślają — za rok jubileusz! Zatem warto dziś, na rok
przed jubileuszem, zebrać wrażenia świeżo wywiezione z go-
scinnego trybunańskiego grodu. Mogą się one przydać przy
kierowaniu dalszymi losami konkursu noszącego bodaj naj-
piękniejszą nazwę spośród turniejów literackich w kraju.

Wyniki tegorocznej „Rubinowej Hortensji” — w pełni potwier-
dziły rację istnienia konkursu. Dowiodły bowiem raz jeszcze
jego popularności, jego ogólnopolskiego zasięgu i jego roli
ujawniania talentów. Napłynęło do Piotrkowa ponad trzysta
prac, jak świadczy werdykt jury — z różnych regionów, z o-
dległych zakątków Polskiej Democracji. W tym konkursowym uho-
nowały młodych autorów o nazwiskach znanych naszym on-
serwatorom życia literackiego, lecz nade wszystko przede
wszystkiem nazwiska nowe, dopiero początkujących twórców. Pion
konkursu jest przeglądem wielu tematów i technik pisarskich.
Najogólniej można powiedzieć, że dominuje w nim sfera umie-
jętności posługiwania się różnymi formami wypowiedzi lite-
rackiej, dających w efekcie zarówno wyrafinowane stylizacje,
jak i pozbawiony ornamentów, starannie opracowany auten-
tyczny przeżyty, spozstrzeżeń i bezpretensjonalnie wyrażonych
myśli. Poezja Aleksandra Migo z Krosna i proza Edwarda
Zymana z Katowic — laureatów tej skali, w jakiej operowało
być przykładem obu biegunów tej skali, w jakiej operowało
językiem artystycznym wielu innych uczestników konkursu.
Ufamy — a rozwój talentów promowanych w poprzednich
„edycjach” „Rubinowej Hortensji” do tego zachęca — że również
niedawno zakończony konkurs otworzy drogę dalszego dosko-
nalenia warsztatu i wrażliwości twórczej.

Organizatorzy „Rubinowej Hortensji” — w tym roku aż osiem
instytucji — dbają o sympatyczną atmosferę i ciekawy program
imprezy finałowej. Byliśmy więc w Hucie „Hortensja”, stu-
chaliśmy koncertu kwartetu smyczkowego Filharmonii Łódz-
kiej i recytacji nagrodzonych tekstów w zabytkowych salach
renesansowego zamku. Myślę jednak, że warto zastanowić się
nad rozszerzeniem koncepcji tej imprezy, aby oprócz walorów
turystrycznych miała ona również swoją rangę w życiu kultu-
ralnym, aby nie była imprezą zamkniętą, aby nie była tylko
uroczystością z przemówieniami i występami, aby stała się
forum wymiany poglądów między twórcami, aby bardziej an-
gażowała miejscowe środowisko odbiorców i społecznej litera-
tury — młodzież szkolną, bywalców bibliotek i domów kultury. Nie
chodzi o jeszcze jedno sympozjum, czy sesję naukową, nie
jest wszakże dobrze, jeśli — jak w tym roku — na zakoń-
czenie spotykają się jedynie trzy, jednakowo liczne, grony go-
ści: przedstawiciele władz, laureaci i jurorzy, i to tylko po-
to, by asystować przy wręczeniu pięknych pucharów i nana-
wać się urokliwie ślicznymi tańcami węgierskich Brahmów. Pu-
bliczność bowiem w Zamku Królewskim w Piotrkowie nie
była. Sądzę przeto, że warto pokusić się w przyszłości —
wzorem innych ośrodków, np. Kłodzka czy Oleśnicy — o choć
jeden referat skłaniający do merytorycznej rozmowy o litera-
turze w gronie pisarzy, krytyków i czytelników oraz o utrwa-
lenie dorobku i dzieł zasłużonego konkursu w formie publi-
kacji.

J. RZ.

potem szlachta odeszła w ordynku niedzielnym
i długo pachniał w lesie marsz święty i zbrojny
kwiaty w oczach marniały to zabawnie bywa
gdy się tak od niechcenia koloru pozbywa
słowo pachnące kurzem wszystkich rowów świata
a my patrzymy na to tak klasycznie niemi
że aż nam się święteczna koszula wydyma
jak żołądek ikara kiedy stracił głowę
i cieszą nas kopiate pierzyny zimowe
i kobiety przytulne które sny zbierają
w czule dłonie i z czośnikiem pod komin wieszają
nawiedził nas ukradkiem w czas kwitnienia wiśni
w dolinie było cicho baśnie w pola wyszły
pejzaż się doskonalił pospolu z tarniną
jeździec na siwym koniu swój jak nieme kino
nawiedził w rytuale lisów i jeleni
i wtedy rzeczywistość świat się zmieszczył w dłoni
stał się jasnym murem tak klasycznie niemi
jak rewolta spisana z towarzyskich kronik

I w tej poruszającej się, pro-
szającej o unicestwienie idio-
tycznej szczytności nie było
nic ponad grunt — żółty,
twardy, trochę szarawy, za-
przecajający, na wprost, na-
kłaniający do niedowierzają-
cego wzruszenia ramion i
śmiechu.

Wciążła brzech głębiej,
rayfle odstawiał od niego tak
posłusznie jak bezwartościow-
y pancerz, tworząc pustkę.
W kuszącym pejzażu lasów
natrętnym strumykiem pełził
niedawno po skórze od pierśi
do pępka lepki pot i gryzły
tabuny gwał, a ścieżka z
pięknej stała się pylistą, po-
tem kamienista, śliska wyżej
i groźną wykreśleniem stopy,
poprzecinana żłobliwie przez
wodę. Wstrętne, zwodnicze
kłamstwo.

Wydeła brzech, aż pasek
wgrzył się boleśnie w ciało,
chcąc by ból przeszedł tam,
gdzie pojawił się sam znacznie
później, lecz nie napłynął. Za-
śmiała się gorzko, zagryzła
wargi. Zobaczyła mężczyźną
niżej i rozejrzała się wokół.
Wspinał się szybko, zupełnie
jak myśliwski pies. Pomyśla-
ła, że chyba tak zaczynają się
trwałe wszelkie indywidualne
obsesje — bez bezpośredniego
powodu, nie musiała bowiem
myśleć już obecnie w ten
sposób o podążającym za nią
człowieku. Ale wszystko za-
czyna się właśnie od takich,
a całe niesprawiedliwie roz-
dzielone ryzyko rozgrywa się

wyłącznie w tobie — w tym
idiotycznym, zaślepionym i
samolubnym brzuchu. Kobie-
ty są zawsze same od brzu-
cha w górę, nawet wobec
męża. Same przy snuciu pla-
nów, przy pragnieniu, przy
wyborze i wyczekiwaniu na
ból, strachu, same z pomyłką,
z rozczarowaniem, przeciw
sobie gdy przejęły w społe-
czeństwie rolę mężczyzny i
pojmują naraz, że nikt poza
nimi nie zastąpi dzieciom
matki, same w buncie prze-
ciw wyłączeniu dawania cie-
pła. Może dlatego od począt-
ku poszukują KOGOS. A oni
idą jak ten niżej: bezbłędnie,
nie pomijając okazji, załama-
nia, bezczelnie — z niczym
nie łączą żył i tętnic — wszy-
stko rozgrywa się nie w nich.
Zjawiają się kolejno, obrażają
o drwiący uśmiech, o lekce-
ważenie, zmuszają do powa-
gi, grają swoje role.

Mężczyzna wkroczył już
na czerwony lupek, gdy zni-
kla wśród drzew na szczycie.
Za to też — za ów poślpek,
za szczyb od jej kroku krok
czuła doń rosnącą odrazę.
Pragnęła ją pogłębić szukając
znów bólu tam, gdzie pojawił
się z pewnością za kilka m-
sięcy. Skryta za drzewem pa-
trzyła pustymi źrenicami w
dół.

Grzbiet góry załamywał się
z lewej strony na granicy
starego świerkowego drzewo-
stanu. Kurtyna martwych ga-
łązek z przedmurzem olbrzy-

MAREK PILICHOWSKI

WYCIECZKA DO MUZEUM CZŁOWIEKA

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od prehistorii
ogłądaliśmy zimne kamienie paleniska
żarna i haczyki na ryby
dotykaliśmy brązowego miecza
i usiłowaliśmy naśladować krzyk wojownika
wyrzytego w kamieniu
Wszystkie te przedmioty leżały obok siebie
jednocześnie

oddane nam przez cierpliwie piaski
Potem ogłądaliśmy iluminowane stronicę ksiąg
i rzemień, który zaciśnięty na szyi człowieka
przeleżał razem z nim w torfowisku do naszych czasów
Ogłądaliśmy kulomioty i bagnety piechoty spod
Verdun

i topór, którym odrąbywano ręce złodziejom
ogłądaliśmy krysy i samurajskie miecze wykopane na
cmentarzach

Wszystkie te rzeczy, jak już zauważyliśmy
leżały obok siebie jednocześnie
Zniknęły tylko ręce ich właścicieli
i ręce, które zaciskały rzemiennej pętle
Usiłowaliśmy wyobrazić sobie ludzi
którzy odeszli od tych przedmiotów
Byli podobni do nas
choć mogli mieć brązową skórę, jak ten
znaleziony w torfowisku

Potem przeszliśmy do historii najnowszej
gdzie także dawał się odczuć brak rąk
Bo gdzie na przykład podzielił się ręce
które otwierały puszkę z cyklonem

Kiedy wyszliśmy z pustego muzeum człowieka
na ruchliwą ulicę
Wtedy zrodziło się w nas pytanie
w jakiej kolejności ułoży nasze rzeczy człowiek
który rozkopie nasze cmentarze

Czy nie ustawił puszek po cyklonie
pośród kamieni paleniska
czy rysunków wyrzytych przez dziecko
zamknięte w celi

nie umieści obok kalendarza Majów
i czy kryptonimu śmierci
wytrawionego w kawałku pancerza atomowej rakiety
nie położy obok tarczy trojańskiego wojownika
ale nie mieliśmy czasu, aby zastanowić się nad
odpowiedzią

na to pytanie
ponieważ musieliśmy wrócić do naszych codziennych
zajęć

mich paproci była tak szczel-
na, że ledwie domyślać się
było można brudno-zielonego
mroku poza nią. Mężczyzna
znajdował się teraz w polo-
wie brunatnej stromizny. U-
śmiechnął się przystając i o-
cierając pot. Przy umiejętnej
rozgrzewce mógłby nie wie-
dząc o niczym zastąpić tam-
tego. Posłużył nowemu ist-
nieniu. Nie jej — KOMUS.
Można przecież na pewno do
nich przywyknąć.

Wiedziała już, jak się gra
— całkiem łatwo przy ich pe-
dzie. Mężczyźni nigdy nie są
świadomi tych spraw — nig-
dy i nigdzie. Czy to jest rów-
noważnik?

Są silniejsi. Podświadomie.
A kobieta jest samotna, zaw-
sze i wszędzie samotna, więc
coś za różnica? Pewnie dlate-
go wybiera czasem podobne
rozwiązanie. Lecz nawet wte-
dy zbyt trudne i ciężkie mo-
że się okazać kłamstwo. Do-
kucz, ożyje, zmusi do znie-
nawidzenia zastępcy czy
spadkobiercy łatwości, ot-
wierając drogę odwetowi...
Nawet nie znając potrafiła
o tym myśleć niezwykle gło-
boko i analitycznie jako stu-
dentka psychologii, chociaż
naukowe teorie nie miały w
tych myślach żadnego głosu.
Psychologia nie chroniła jej
w pełni przed faktem, że by-
ła kobietą przede wszystkim
— najwyższą zamkniętą i
rządzoną przez własnymi zasa-
dami społecznością.

W końcu przełamala się.
Wesła szybko w ów gęsty,
sino-czarno-zielony mrok jak
w mgłę. Wszystkowiedzące i-
głwie stumiło kroki. Przez
jedną, jedyną małą szczeli-
nę w gałęziach starego
świerka widziała jak męż-
czyzna wynurza się spoza
krawędzi na wprost, w słoń-
cu. Przynęła dłoń do
brzucha — płaskiego, gładkie-
go, przesunęła je niżej i wci-
snęła silnie w ciało tuż nad
wypukłą, półkolistą kością
łona. Słuchała. Zbliżał się po-
woli ścieżką, rozglądając py-
tając wokół. Minął jej kry-
jówkę, a ona czuła kolejno
pogardę, drwinę, wyrzuty su-
mienia, chęć zanurzenia się
na oślep w jego przybycie,
konieczność, jej bezsens, o-
pamiętanie, gniew, pogardę...
A ciche stapanie i migot u-
brania oddaliły się ścieżką.

Nie mógł gdzie indziej
pójść — pomyślała drwiąco
naraz odczuła strach na myśl
co mogła uczynić, gdyby tu
trafił. Usiadła szybko na igli-
wju pod pnem i wtedy zau-
ważyła, jak splywa po niej
znowu pot. Była bowiem zbyt
samotna nawet sama w sobie
i nie należała już wyłącznie
do siebie. Zarliwie, za wszel-
ką cenę zapewniała się, że
nie była to żadna próba pró-
by.

Mężczyzna przyspieszył.
Bardzo teraz chciał podzielić
się z kobietą swymi myśla-
mi.

Zakaz na Rumcajsa

Program rozwoju budownictwa mieszkaniowego uznano za jedno z najważniejszych zadań społeczno-ekonomicznego planu na najbliższe lata. Szybka realizacja tego programu rozwiąże ważny społeczny problem, jednak nie w oparciu o założenie „każdemu według zapotrzebowania” lecz „według możliwości”. Zasadą ta w powszechnej świadomości nie budzi żadnego sprzeciwu, a dla poważnej części oczekujących na samodzielne mieszkanie oznacza awans i dostęp do cywilizacyjnego komfortu. Współczesne osiedla konsekwentnie realizują zasadę „wyrównywania standardów” — równoznaczna ze społeczną równością. Niesie to jednak za sobą pewne skutki wynikające ze standaryzacji, wyznaczającej dla podstawowych komórek społecznego życia podobne materiałno-przestrzenne ramy.

Kilometry papieru zapisano już na temat postulatów, jakie ma do spełnienia urbanistyka i architektura, aby skutecznie przeciwdziałać konsekwencjom takiego wyrównywania. Wszelkie pozytywne rozwiązania cieszą się zrozumiętym uznaniem, tym bardziej, że wobec coraz szybszego tempa rozwoju budownictwa i coraz dokuczliwej urbanistyczno-architektonicznej monotonii chodzi nie o jedną — lecz wiele przemyślanych recept. Nie można bowiem tak złożonego problemu sprowadzić do jednego hasła. Co innego znaczy standaryzacja dla jakości i estetyki zespołów osiedleńczych, co innego dla jakości zamieszkiwania w nich. Obie te dziedziny zainteresowań projektantów wyznaczają odmienne kształty, w jakich materializuje się sztuczne środowisko człowieka.

Może jest zbyt ryzykowne dokonywanie tu ostrego podziału, bo właśnie osiedle mieszkaniowe jest — w dużym uproszczeniu — „wielością” mikroświata w funkcjonalnej jedności szerszego środowiska. W znaczeniu przestrzennym będzie to problem relacji między najczęściej użytkowaną, niewielką przestrzenią osobistą (mieszkaniem) a przestrzenią wspólną (blokiem, osiedlem).

Wpływ indywidualnego użytkownika na estetyczne i materiałne kształtowanie przestrzeni publicznej jest niewielki. Stanowi ona jakby obiektywnie — to znaczy instytucjonalnie — wyznaczoną ramę, wobec której osobiste emocje sprowadzają się najczęściej do odbierania fragmentów, rzadziej całości. Osiedle może być ładne lub brzydkie, leśne lub gorzej położone, kolorowe albo smutne. Te kategorie ocen należą do potocznych, bowiem tylko takie są możliwe „okiem przechodnia” (termin zaproponowany przez Marcina Czerwińskiego).

Pomijam tu sprawę tzw. małej architektury, którą można wartościować w sposób bardziej emocjonalny, a która — tym samym — ma za zadanie „przybliżyć” nam wspólną przestrzeń osiedla. Owa przestrzeń staje się powszechną własnością, ponieważ jest przedmiotem doświadczenia dzielonego z innymi ludźmi. To również problem skali: tej niewielkiej, za którą można czuć się w pełni odpowiedzialnym — i tej wymykającej się kontroli, uczuciowo obojętnej: przestrzeni osiedla.

Stosunek do tak zakreślonych ram codzienności bywa różny. O właściwe proporcje zabiegają społeczni działacze, osiedlowe komitety, instytucje i organizacje. Socjologowie usiłują niekiedy układać przepisy na powstawanie osiedlowej więzi a architekci marzą o zrealizowaniu koncepcji „osiedla społecznego”.

Rzeczywistość lubi jednak kierować się własną logiką. Równość polegająca na sprawiedliwym rozdzieleniu takich samych dóbr — mieszkań w osiedlowych zespołach należy do fundamentalnych społecznych osiągnięć. Tyle że korzystający z niej członkowie przyszłej osiedlowej społeczności są różni. Pierwszym i najważniejszym bagażem, jaki przynoszą do nowych mieszkań są własne wzory zachowań, wartości, upodobania. Przydzielone im fragmenty bezosobowej, publicznej struktury natychmiast wypełniają na kształt prywatnych muzeów osobowości.

„Mieszkanie — według prof. Jana Szczepańskiego — jest miejscem w przestrzeni, które staramy się nazwać „naszym” i ukształtować je tak, jak chcielibyśmy kształtować nasze życie”. Mieszkanie zaspokaja potrzebę bezpieczeństwa. Ma ono osłaniać i bronić przed niemyślnymi skutkami cywilizacji, wrogością zurbanizowanego otoczenia. W miejscu pracy i na ulicy grane są (świadomie lub podświadomie) codzienne role na użytek miejskiej „publiczności”. Dopiero mieszkanie uwalnia od przymusowego aktorstwa. Ryglowane na podwójny zamek drzwi zamieniają się w prawdziwą barierę ochronną, którą obcy mają prawo przekraczać jedynie z uzasadnionych powodów. W mieszkaniu realizuje się ideał życiowego komfortu, estetycznych upodobań, prestiżowych snobizmów. Meble na wysoki połysk okupione dodatkowymi godzinami pracy, oszczędzaniem, czasem — choć znacznie rzadziej — zdobytym w efekcie jakichś prywatnych interesów. Wypoczynkowy komplet: dwa fotele + ława. Zestaw młodzieżowy biało-niebieski. Palma oraz wzorek na ścianie. Czasem to estetyczne bogactwo, bywa, wyleje się na ścianę loggia albo balkon w postaci wesołego Donalda

lub zadziornego Rumcajsa, plastikowej przeplatanki przez balkonowe pręty albo linoleum w turecki wzór.

Balkonowe i loggiowe zdobnictwo pstry osiedla na zasadzie „jak się komu podoba”. Nie zamierzam ani przez chwilę bronić tej plag. Ale coraz częściej daje się słyszeć niepokojące głosy, że administracje spółdzielni mieszkaniowych zamierzają ten problem rozwiązać przy pomocy nakazów, tak jak niegdyś uporały się z plagą hodowanych na balkonach królików i domowego piactwa w łazienkach. Chodzi o to, że mieszkanie, którego wystrój starannie kompletowany, doborany według upodobań użytkowników — musi stanowić enklawę wyłączoną spod prawa ingerencji obcych (przedstawicieli instytucji) zaopatrzonych w urzędowe papiery. Inaczej przestanie być „nasze”. To samo dotyczy loggii i balkonów, nie dających się oddzielić od mieszkania, przynajmniej w świadomości ich posiadaczy.

Trzeba, gdy tylko jest to możliwe, wyśmiewać się z drobniomieszkańskich czy plebejskich Rumcajsów i muchomorów na ścianach loggii Retkini albo Dąbrowy. Lecz nie można — nawet w imię słusznej sprawy — walczyć z nimi za pomocą administracyjnego, odgórnego „wyrównywania”. Część motywów zdobniczych jakimi zachwycamy się w „Cepeli” stanowi niedogiętą odrzuty kultury dworskiej zablakowane pod strzechy. Nasi współcześni dysponują również

takimi „odrzutami”, tyle że kultury masowej, telewizyjno-komiksowej. Coś z tego musi krążyć między ludźmi. Wypada ubolewać, że akurat Donald, Myszka Miki czy czeski robotnik. Lecz ich popularność nie przebiega jakoś rodzima konkurencja. Zresztą obecność konkretnych motywów nie zawsze musi świadczyć o poziomie ich popularności wśród konsumentów masowej kultury. Lokatorzy monotonnych bloków z wielkiej płyty, w których architekci i estetyczująca administracja chcieliby widzieć loggie pomalowane równiutko jednym kolorem — czują po prostu nieodpartą chęć ekspresji własnej osobowości, indywidualizacji, „uprywatnienia”. Chcą postępować tak samo, jak to jest możliwe w mieszkaniu, altance, w ogródku działkowym, w miejscu pracy naokoło własnego biurka. Czym zresztą, jeśli już ktoś bardzo pragnie, ma ozdobić swoją cząstkę „prywatnej” przestrzeni wyglądającej ku publicznej?

Specyficzny snobizm, ten sam co każde wystawiać zimą oświetlone jak w dyskotece choinki do loggii — pcha ludzi ku samorodnej twórczości. Socjologia nazywa to przejawem ruralizacji, odwrotnością urbanizacji; procesem demonstrowania małomiasteczkowych czy wiejskich wzorców w środowisku wielkiego miasta. Przyczyna tych zachowań leży w chęci przewyższenia wielkomiejskiej alienacji i anonimowości. Jednym z niewielu obszarów, na których może to się udać — jest mieszkanie i wszelka przestrzeń „prywatna”.

Właśnie dlatego wszystko, co dotyka owej przestrzeni winno być formułowane w kategoriach perswazji, a nie administracyjnego „wyrównywania” — pod warunkiem, rzecz jasna, iż nie dotyczy tego, co elegancko określa się w urzędowym języku jako „niszczenie zasobów”. Wolno zatem — jak sądzę — przekonywać za pomocą środków masowego przekazu o śmiešności niektórych okazów plebejskiego zdobnictwa. Byłe nie od-

górnie, z papierem urzędowym w teczkę, walczyć z czymś do czego dumni autorzy czują moralne prawo. Będzie to bowiem walka słuszną, ale zarazem idealistycznie naiwna a ze społecznego punktu widzenia — niepotrzebna.

Warto przyjrzeć się kiedyś uważnie sklepikom i warszatom rzemieślniczym, zwłaszcza tym nowo otwieranym. Maluje się je od zewnątrz ale wyłącznie tak szeroko, jak sięga objętość sklepowego lokalu. Kontrast odnowionego tym sposobem otoczenia z odrapaną elewacją całej kamienicy może przyprawić estetów o zawal. Ale jakoś nie przyprawia, bo wiem przykład idzie — chciałoby się powiedzieć — „z góry”. Dokładnie tak samo postępują państwowe brzołki remontujące uspołecznione sklepy. Co więcej — łatwo w Łodzi wskazać na reprezentacyjnej ulicy sklepy poważnych przedsiębiorstw, gdzie parter do połowy wysokości obłożony jest prawdziwie nowobogackim marmurem, ale za to wyżej. Z podobną łatwością można demonstrować szpecące reklamy ścienne, nikomu niepotrzebne neony; cały repertuar irracjonalnych decyzji dotyczących jednak przestrzeni publicznej — a więc nieczyjej. Żadna administracja nie kwapi się, żeby ścigać winnych mandatai.

Wszystko to odbija się rykoszetem w mikroskali osiedla i owocuje loggiową twórczością. Raz jeszcze trzeba podkreślić: nie może być mowy o obronie osiedlowego kiczu. Rzecz w tym, iż korzenie tej plag są znacznie dłuższe, niżby wydawało się czynnikom niedoorientowanym, ale pragnącym „wyrównywania” dla czystej zasady.

Można podjąć próby przeciwdziałania za pomocą rozwiązań konstrukcyjno-estetycznych samej architektury. Jakich — wolałbym pozostawić kompetencji instytucji, które (jak do tej pory) stać najwyższe na opracowywanie taktyki administracyjnej wojny z Rumcajsem.



Foto: W. Parys

sport

NIKT NIC NIE WIE

Przypuszczeniem, prognozą, zakładem nie było końca. Każdy miał swoje zdanie, swoje kalkulacje, widział to już wszystko oczyma wyobraźni. No i nadszedł ten dzień, godzina zero, opustoszały ulice, zapalili się telewizory i zaczęło się. Totalne zaskakiwanie ludzi. Runęły w gruzu wszelkie prognozy i przypuszczenia, zakłady zaczynają wygrywać nie ci, co byli pewni wygranej i wszystko wskazywało, że wygrają muszą. Nikt już teraz nie jest pewien niczego.

Pierwsi zaskoczyli nas organizatorzy. Mialo być tango argentyńskie i nie było. Dali zupełnie inną muzykę. Ani cienia tanga. Zupełnie nie pasuje to do naszych wyobrażeń o Argentynie. To myślny śpiewali i komponowali „argentyńskie” tanga, a oni się na nas wypieli. Jakieś pokazy gimnastyczne. Ładne nawet, nie powiem i całkowiły porządek na płytach stadionu. Nikt nie pęta się niepotrzebnie, nie biega zdenerwowany, nie macha rozpaczliwie rękoma. Ale o porządku będzie jeszcze dalej.

Drugie zaskoczenie zrobili nam Polacy. Co tu się przed tym nie mówiło. Telewizja puściła nawet kilka dni przed mistrzostwami świata w Argentynie film nakręcony po mistrzostwach świata w Monachium i coś nieoczekiwanie się zgadzało. Teraz też niektórzy pytali: — po co oni tam

jadą? Dostaną w skórę już w pierwszym meczu.

Nie byliśmy zadowoleni z tego, co pokazywała nam nasza drużyna przed wyjazdem do Argentyny. To prawda. Ale można było przypuszczać, że nikt nie chciał pokazać się przed Mundialem '78, odstąpić się, ujawnić swoje prawdziwe możliwości. Prawiono sobie nawzajem komplementy. Wysuwano kandydatury przeciwników do pozycji medalowych, aby tylko odwrócić uwagę od siebie i nie powiedzieć. Choć byli i tacy, co nie grzeszyli skromnością i buńczucznie twierdzili, że oni... Szkoci na przykład. Ale i o Szkotach będzie dalej.

Polacy zaskoczyli nas miło. Remis z RFN — pamiętając, że z drużyną RFN nie udało się nam jeszcze wygrać i że ta właśnie drużyna zatrzymała polską nawałę w Monachium w 1974 roku — tak więc remis z RFN to bardzo dużo jak na początek turnieju. Nie pozwoliliśmy wygrać Niemcom, choć i sami nie wygraliśmy. Wielu komentatorów wyrażało się w superlatywach o polskich piłkarzach i nie były to jedynie komplementy. Mieliśmy powód do radości. Wprawdzie mówilo się, że każdy przeciwnik jest groźny i każdego trzeba poważnie traktować, ale remis z RFN otwierał drogę do wyjścia z grupy. Budził nadzieje.

Wszystkich zaskoczyli Tunezyj-

czycy, którzy wysoko wygrali z Meksykiem. To mógł być fuks. Przypadek. Słaby dzień piłkarzy Meksyku. Ale Szwedzi remisują zupełnie nieoczekiwanie z Brazylią, a powini byli według wszelkich przewidywań przegrać. Francuzi natomiast powini byli wygrać i już się wszystkim wydawało, że wygrają, bo prowadzili przez pewien czas, ale wygrali Włosi, choć według wszelkich przewidywań nie powini. Nawet w słonecznej Italii sceptycznie zapatrują się na los włoskich piłkarzy w Argentynie. Węgry powini byli wygrać z Argentyną, a przegrali. Austriakom mało kto dał szansę na wygraną z Hiszpanami i pomylili się wszyscy, bo wygrali właśnie piłkarze Austrii. Przed meczem rozsiewano uparcie plotki o niesnaskach panujących w austriackim obozie. Drużyna Austrii pokazała na boisku, że jest scementowana znakomicie i doskonale się rozumie. O Peru sądzono, że nie odegra większej roli w swojej grupie. Szkoci mieli zdobyć nawet — według ich własnej opinii — mistrzostwo świata. I przegrali sromotnie z Peruwianczykami.

Szkoci zaskoczyli nas najbardziej. Powszechnie panuje pogląd, że Szkoci są oszczędni. Tymczasem pożegnaniem ekipy szkockiej było nieustającym bankietem połączonym z widowiskiem barwnym i hałaśliwym. Szkoci jechali do Buenos Aires w glerli przyszłej sławy. Mieli rozdeptać prze-

ciwników mimochodem popijając sobie z upodobaniem argentyńskie piwo. No i nacieli się srodze. Przegrali z Peru, co było ogromnym zaskoczeniem. A ponieważ w grupie tej jest jeszcze Iran i Holandia i można spodziewać się, że Peruwianczycy wygrają z Iranem, a Szkoci przegrają z Holandią, więc awans Szkotów nie jest taki pewny. W ogóle nie jest pewne. Tylko Iran nie sprawił niespodzianki. Przegrał z Holandią zgodnie z wszelkimi przewidywaniami.

Węgry zawiedli srodze. Widziano w nich czarne konia tego turnieju. Sądzono, że mogą odegrać w nim ważną rolę. Zarobili już w pierwszym meczu dwie czerwone kartki i sytuacja im się skomplikowała, gdyż do Buenos Aires przyjechali w niepełnym składzie. Co będzie dalej z Węgrami zobaczymy. W ogóle zobaczymy, co będzie dalej, bo teraz żadna drużyna nie jest pewna swego losu i musi dobrze przygotować się do każdego meczu, licząc nie tylko na z górą ustaloną taktykę, ale i na umiejętność improwizowania na boisku. Tego wymaga każdy przeciwnik, bo może zdarzyć się wszystko, jak to zdarzyło się faworyzowanym Węgram, Meksykanom i Szkotom.

Nie nie może dzieć się na boisku bez zgody sędziego technicznego. To bardzo dobry pomysł. Dzięki temu wprowadzono porządek. Tylko z sędziowaniem dzieją się dziwne rzeczy.

Każdy sędzia kończy mecz w innej porze i lichy go wie, czy ma rację. Dzięki sędziemu Brazylijczyk przeżył gorzkie rozczarowanie. Strzelił gola już po gwizdku kończącym mecz. Ale czy rzeczywiście tak było? Inny sędzia nakazał rzut z rogu i odgwizdał koniec meczu nim piłkarz strzelił. Który z nich miał rację? Tego nikt nie wie. Ale organizatorzy powini o tym pomyśleć, aby na przyszłość nie było podobnych niespodzianek. Może jednak lepiej odgwizdać koniec meczu nim piłkarz strzelił, niż czekać aż kopnie i zacząć gwizdać, bo wtedy może być tak, jak było w meczu Szwecji z Brazylią, kiedy na dobrą sprawę nie wiadomo, czy był remis, czy wygrali Brazylijczycy. Sędzia tego też pewnie nie wie.

Stwierdzenie, że nikt nic nie wie przydaje Mundiałowi '78 swoistego uroku. Nasza drużyna ma we wtorek grać z Tunezją a RFN z Meksykiem. Kto wygra? Oto jest pytanie. Mamy nadzieję, że w końcu rutynowane zespoły, grające niemal z matematyczną dokładnością powstrzymają zwolenników improwizacji i żywiołowości. Miejmy nadzieję, choć trzeba brać i pod uwagę taką możliwość, że druga runda może nam przynieść sporo nowych niespodzianek. W tym turnieju mistrzostw świata w Argentynie wszystko jest możliwe. Po serii niespodzianek mogą obudzić się również i te zespoły, które zaskoczyły nas swoją niespodziewaną złą formą w pierwszej turze rozgrywek. W meczu Argentyna — Francja właściwie nie ma faworytów. I bardzo dobrze. Zasiądziemy bowiem przed telewizorami cali w nerwach i niepokoju. Oby tylko nasi nie sprawili nam przykrej niespodzianki. Tfu, tfu, odpukać.

BODGA MADEJ

„POLONEZ” — NOWY ROZDZIAŁ W HISTORII MOTORYZACJI

Dalszy ciąg ze str. 1

na stanowisko docierania. Potem jeszcze tylko dodaje się skrzynię biegów i rozrusznik prądny.

Mówi kierownik zakładu nr 6 — Roman Sokolowski:

— Halę tę wybudowano w latach 1966-67, a właściwie dobudowano tylko do starej, 4-krotnie mniejszej — nową część, rzecz jasna z myślą o produkcji „Polskiego Fiata”. Linie przenośnikowe są na włoskiej dokumentacji i mają w sumie długość około 4 kilometrów. Dzięki nim mogliśmy nie tylko zwiększyć produkcję, ale także znacznie ułatwić pracę załogi. Dawniej wszystkie części trzeba było dowozić na stanowiska wózkami, teraz — wyrzuciły nas przenośniki, a pracownik ma wszystko, jak to się mówi pod ręką. Oczywiście w dalszym ciągu robimy przede wszystkim silniki do „Fiata 125p”, coraz więcej jednak zaczynamy montować — i do „Poloneza”. Pierwsze testowe silniki do niego wykonaliśmy już pod koniec ubiegłego roku, lecz dopiero po trzech miesiącach przygotowań ruszyliśmy z produkcją seryjną.

Drugim zakładem FSO, do którego trafiliśmy jest tłocznia — najnowocześniejszy tego typu obiekt w Europie, co szczególnie podkreśla moja sympatyczna przewodniczka. Budynek tłoczni też jest nowy — jego budowę rozpoczęto przed czterema laty. Dziś z zewnątrz wygląda jak wielkomiejski biurowiec — aluminium i szkło, i początkowo trudno jest mi sobie uświadomić, że wewnątrz mieści halę wcale nie mniejszą niż ta w zakładzie nr 6, którą opuściliśmy przed kilkoma minutami. Zainstalowano tu nowoczesne prasy (karoseryjne i podwozowe), marki „Schuler”, „Bliss” i „Verson” o nacisku regulowanym od 250 do 1500 ton. Prasy te wyposażone w dwa wymienne stoły pozwalają na przebrojenie maszyny na inny rodzaj tłoczenia w ciągu 40 minut. Dla porównania w prasach dawniej stosowanych czynność ta zabierała aż 8 godzin.

Okazuje się jednak, że nie tylko to decyduje o nowoczesności tłoczni — ciągle jeszcze będącej w budowie, mimo że praca w niej już na dobre. Otóż poziom głównej hali, tam gdzie zainstalowano prasy, znajduje się 6 metrów nad powierzchnią ziemi. Pozwoliło to na ustawienie pod każdą linią pras specjalnych transportatorów, na które wykrawki spadają samoczynnie i wędrują piętro niżej, czyli na parter. Gdy się o tym dowiaduję, moje zdziwienie jest jeszcze większe, bo przecież z zewnątrz konstrukcja budynku wygląda na lekką, jak jednak musi być masywna, skoro utrzymuje na piętze te gigantyczne prasy.

Wjeżdżamy windą na samą górę, skąd z okna jednego z pokoi biurowych rozciąga się wspaniały widok na znaczną część terenu FSO. Przed nami zabudowania fabryczne, drogi dojazdowe, na których panuje wieczny ruch, gdzieś z prawej strony bocznica kolejowa wyglądająca jak... — no powiedzmy stacja towarowa w miasteczku średniej wielkości, po lewo — kominy elektrociepłowni „Żerań” i Wisła. Przez chwilę próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce przed laty, gdy nie było tu jeszcze Fabryki Samochodów Osobowych. O! choćby zaraz po wojnie. Musiałoby być tu bardzo ładnie i pusto.

Z HISTORII MOTORYZACJI

Decyzje o rozpoczęciu budowy FSO podjęto 31 lipca 1948 roku. Po zwycięstwie wojennym polski przemysł zaczął niemalże od zera, w tym także przemysł samochodowy. Przed 1939 rokiem nie byliśmy potęgą w produkcji samochodów na naszym

kontynencie, choć mieliśmy, zdaje się, nie najgorszych konstruktorów. Powstało nawet kilka oryginalnych modeli samochodów: „CWS” inż. Tadeusza Tańskiego, „Polonia” inż. M. Karpowskiego, „Ralf Stetysz” hr. Stefana Tyszkiewicza, „WM” inż. Władysława Mrajskiego, „Iradam” inż. Adama Giuchowskiego, czy też wysokiej klasy „Lux-Sport”, ale nie doczekaliśmy się one nigdy seryjnej produkcji ze względu na trudności finansowe ich konstruktorów i ewentualnych producentów, a także ze względu na ostre veto firmy „Fiat”, od której Polska zakupiła licencję. Jasne bowiem, że skoro po drogach przedwojennej Polski miały jeździć przede wszystkim „Polskie Fiaty”,

lilibyśmy lub narzekaliśmy, a przede wszystkim jeździliśmy nimi — w zaciśniętej krawacie żerańskich konstruktorów powstawały nowe, kolejne modele „Warszawy” i „Syren”. Jedne z nich znamy bardzo dobrze: „Syreny” 102, 103, 104 itd., „Warszawy” 223, 224, combi, sanitarki, pick-up; inne nigdy właściwie nie ujrzały światła dziennego, jak choćby „Syrena-Sport”, czy opracowane pod koniec 1967 roku dwie wersje „Warszawy” o zupełnie nowej karoserii.

Wreszcie przychodzi drugi wielki dzień polskiej motoryzacji, co jakby początek nowej ery w jej powojennej historii — 28 listopada 1967 roku rusza produkcja licencyjnego samochodu osobowego średniej kla-

kie, nie męczą się i nie odczuwają wcale potrzeby wyjścia na papierosa.

Całością pracy linii automatycznych zgrzewania i systemem transportu (długość dróg komunikacyjnych w spawalni sięga 15 km) steruje komputer. Praca ręczna ogranicza się do zakładania drobnych podzespołów i nadzoru, oraz uzupełniania tych miejsc zgrzewania, których nie wykonały automaty ze względu na utrzymanie odpowiedniego tempa pracy, a jest ono oszalałające — co minutę z taśmy schodzi jedno nadwozie.

Obserwując pracę robotów, zastanawiam się jak bardzo technologia produkcji samochodów poszła do przodu. Kiedy w 1922 roku Tadeusz

naprawdę bardzo dobry samochód — precyzyjnie wykonany, o sztywniejszym pudle i dużo trwalszych łączeniach. Ludzie mówią, że jego cena jest za wysoka, ale gdy jego przyszedł użytkownicy przekonają się o ile lepszy jest od „Fiata 125p”, nie będą mieli już chyba tych wątpliwości.

„Polonez”, to istotnie wielkie osiągnięcie polskich konstruktorów z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Samochodów Osobowych przy FSO na Żeraniu. Szkoda tylko, że trochę wcześniej ich dzieło — sportowa wersja „Fiata 125p” — „Ogar” pomimo zapowiedzi nie wszedł do seryjnej produkcji. „Ogar” posiadał elegancką, aerodynamiczną sylwetkę, nadwozie wykonane z żywicy poliestrowych i włókna szklanego i wyposażony był w silnik 1500 ccm o mocy 82 KM. Nie pora jednak rozdzierać szaty... — i to właśnie w chwili, gdy „Polonez” czas zacząć...

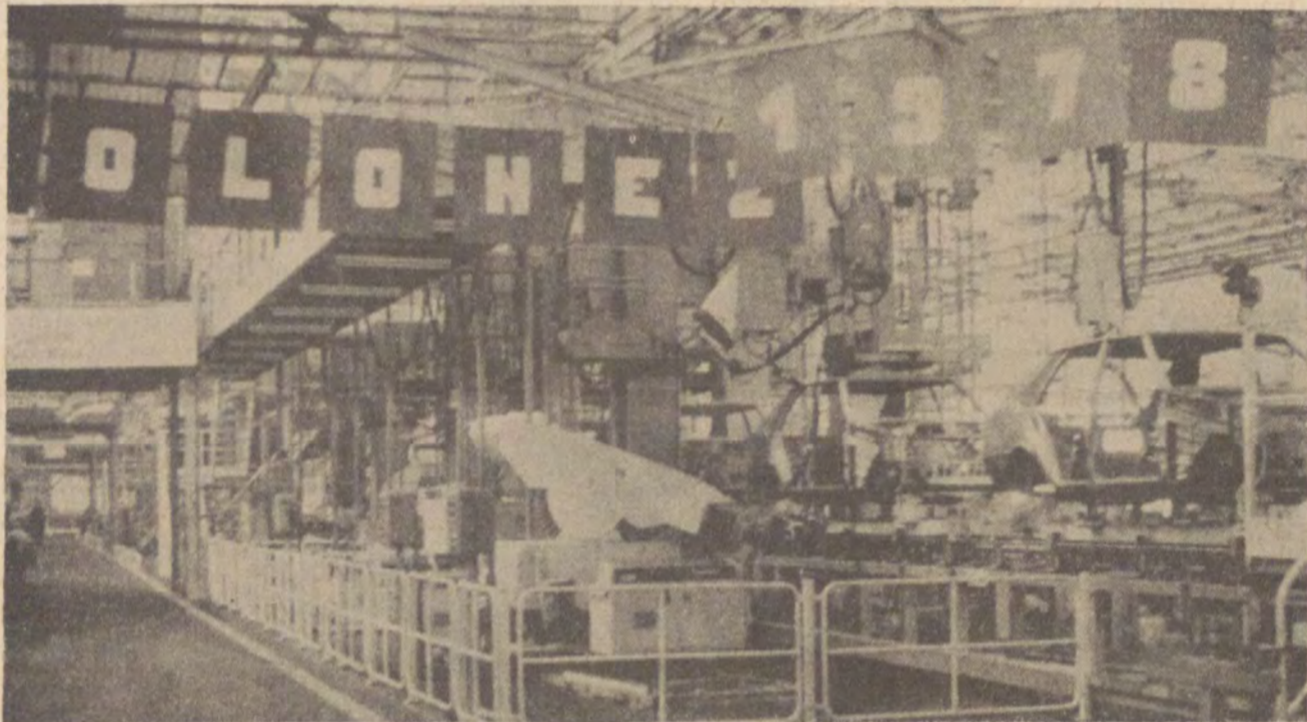
Oczywiście nie oznacza to wcale, że pożegnaliśmy się z „Fiatem 125p”. Wprost przeciwnie, produkcja „Fiata” nadal będzie kontynuowana, a sam samochód poddany zostanie kolejnym modernizacjom. Już w 1968 roku, w momencie uruchamiania jego produkcji na Żeraniu nie uważano go jako konstrukcji zamkniętej, i wprowadzono w nim szereg zmian z myślą o zwiększeniu niezawodności, żywotności oraz dostosowaniu go do poruszania się w krajowych warunkach drogowych. „Fiat” MR 75 poddano zasadniczej modernizacji, wprowadzając zmiany zarówno w wyglądzie zewnętrznym, jak i wewnątrz — m. innymi poprzez zastosowanie zupełnie nowej deski rozdzielczej. Ogółem od początku aż do dnia dzisiejszego wprowadzono w nim ponad 3 tys. zmian konstrukcyjnych. Teraz, gdy mamy wreszcie nowy, własny typ samochodu, można na jeszcze szerszą skalę prowadzić dalsze udoskonalenia „Fiata 125p”, wprowadzając do niego te elementy i zespoły z „Poloneza”, które da się zaadaptować. Stosownie do przyjętej zasady wypuszczania modelu roku, FSO przygotowuje już „Fiata” MR 78, który otrzyma nowe koło kierownicy pokryte miękkim tworzywem, nowy prosty przełącznik świateł pod kierownicą, nowy zamek do bagażnika sterowany linką z wnętrza wozu zmniejszający możliwość dostania się do niego osobom niepowołanym. W bieżącym roku przewiduje się również wypuszczenie nowego modelu samochodu dostawczego pick-up o ładowności zwiększonej do 540 kg.

TYDZIEŃ NIE WYSTARCZY

Gdy opuszczałem bramy FSO, słonce chyliło się już ku zachodowi. Do pracy przystąpiła druga zmiana. Rozniecona tym, co tutaj zobaczyłem, ciekawość pomimo zmęczenia domagała się kolejnej porcji wrażeń. Czulem wrażenie niedosytu, zapoznając się zaledwie z częścią żerańskiego giganta. Więc jeszcze na koniec kilka zdjęć stojącego na przyzakładowym parkingu „Poloneza”, podczas robienia których posadzony zostałem przez strażników o współpracę z wywiadem jakiegoś wrogiego mocarstwa, i — żegnaj FSO. Przyszłym razem przyjadę tu na tydzień, jak radziła mi towarzysząca wiernie i ofiarnie Ewa Gorzko, choć i tydzień na Żeraniu, to podobno wcale nie tak dużo.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Zdjęcia autora



nie można było dopuścić do powstania konkurencji. W 1938 roku Mieczysław Debicki, Mieczysław Skwierczyński i Jan Werner konstruują model popularnego samochodu o nazwie „A”, który nie ustępował wcale „Polskiemu Fiatowi 508”. Inicjator całego przedsięwzięcia i przyszły producent samochodu, właściciel Zakładów Blacharskich „Bielany” w Warszawie — Antoni Wierkowski uzyskał już nawet koncesję, ale jego plany pokrzyżowała wojna.

W styczniu 1950 roku podpisana została polsko-radziecka umowa licencyjna pomiędzy FSO i Zakładami Samochodowymi w Gorkim na produkcję samochodu „Pobiada”. W ramach tej umowy strona radziecka zagwarantowała pomoc w projektowaniu, budowie i wyposażeniu oraz uruchomieniu seryjnej produkcji licencyjnego samochodu „Warszawa” M-20. Po zakończeniu budowy, FSO na Żeraniu miało osiągnąć zdolność produkcyjną 25 tys. sztuk pojazdów rocznie. Dziś, gdy tylko w Warszawie montuje się ponad 120 tys. sztuk, tamta wielkość wydaje się nam bardzo mała, ale nie możemy przecież zapominać, że były to dopiero początki.

Punktualnie o godz. 14.00, 6 listopada 1951 roku z taśmy montażowej zjechała pierwsza „Warszawa”. Dzień ten był prawdziwym świętem polskiej motoryzacji, a historyczne już dziś zdjęcie starszki — „Warszawy” z seryjnym numerem 000001 pojawiło się na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Dopiero od 1956 roku wszystkie części „Warszawy” produkowane były w kraju, a już w rok później narodziła się „Syrena” — pierwszy po wojnie samochód całkowicie polskiej konstrukcji. Polubiłszy oba te samochody, mimo że zdarzało nam się nieraz wypowiadać o nich wcale nie najładniej. I podczas, gdy my chwa-

sy — „Polski Fiat 125p”. I od tego momentu wszystko na Żeraniu zaczyna pulsować nowym, szybszym rytmem. FSO modernizuje swój park maszynowy, wprowadza się nowe urządzenia i nowe technologie, powstają nowe hale zakłady i oddziały, w przyspieszonym tempie rośnie produkcja, rozszerza się eksport. W 1972 roku FSO zaprzestaje produkcji „Syren”, a w rok potem — „Warszaw”. Na ich miejsce wchodzi kolejne modele „Fiata 125p”. W październiku 1976 roku bramy żerańskiej fabryki opuszcza milionowy samochód. Ufff.

JAKI JEST TEN „POLONEZ”?

Zjeżdżamy windą z szóstego piętra budynku tłoczni i choć zbliża się koniec zmiany i czas nagli (nie mniej, lecz moją skądinąd uroczą przewodniczkę) udajemy się jeszcze do spawalni, czyli w miejsce, gdzie z wielokształtnych kawałków metali powstaje jednolity kształt samochodu. I tu znów staję oko w oko z najnowocześniejszą techniką. Spawalnica, a właściwie: zakład montażu nadwozi, ostatnio rozbudowany i zmodernizowany, wyposażony został w automatyczną linię zgrzewania wielopunktowego podłogi i szkieletu nadwozia dostarczoną przez włoską firmę MST. Pozwoliło to na wyeliminowanie w 60 procentach pracy ręcznej. Teraz człowieka zastąpiły roboty przemysłowe. Jest ich w tym zakładzie 12, pochodzą z oceanu (produkcji amerykańskiej firmy „Unimation”) i potrafią wykonywać nawet bardzo skomplikowane czynności, oczywiście o ile właściwie zostaną zaprogramowane. Inżynierowie z FSO mają z nimi do czynienia dopiero od listopada ubiegłego roku, ale zdążyli już poznać wszystkie ich tajemnice i kaprysy. Są więc posłuszne, a przede wszystkim — precyzyjne i szyb-

Tański zbudował swój pierwszy samochód „CWS-T-1”, można go było złożyć lub rozebrać przy pomocy jednego tylko, zwykłego klucza szregowego, gdyż wszystkie śruby i nakrętki miały jednakowy gwint M-10. Kiedy w 1978 roku uruchomiono w FSO produkcję „Poloneza”, jego nadwozie trzeba zespawać aż w 6 tysiącach punktów, z czego w dwóch trzecich czynność tę wykonują automaty.

— Rzeczywiście, zainstalowane u nas roboty, to wielki krok w przyszłość — mówi szef zakładu montażu nadwozi — Leopold Brzechowski. — Praca przy automatycznej linii zgrzewania jest dużo mniej męcząca oraz znacznie bezpieczniejsza. W wielu miejscach bezpośredniego kontaktu pracownika z urządzeniami linii są specjalne, jak my to nazywamy — zapadnie, czyli coś w rodzaju wagi. W chwili, gdy robotnicy zbliżają się do urządzeń, cała linia zostaje zatrzymana i ruszy dopiero wtedy, gdy wszyscy zjedzą z owych zapadni, a więc na bezpieczną odległość.

Innym nowoczesnym zastosowaniem tu rozwiązaniem są tzw. magazyny międzyoperacyjne, również automatyczne. Magazyny te znajdują się pomiędzy poszczególnymi odcinkami linii i gromadzą zapas gotowych wyrobów z odcinka poprzedniego w ilości równoważnej godzinie normalnej produkcji. I teraz: jeśli na jednym z odcinków są jakieś awarie, pozostałe mogą pracować bez względu na nie przez godzinę, wykorzystując wyroby zgromadzone właśnie w magazynach, a przez ten czas technicy mogą bez zatrzymywania cyklu produkcyjnego dokonać niezbędnych napraw.

A co do „Poloneza”, który właśnie montuje się, to warto powiedzieć, że tak jak „Fiat” w stosunku do „Warszawy” podniósł poziom stosowanej technologii o klasę wyżej, tak „Polonez” — w stosunku do „Fiata”. To

27-letni inż. Andrzej Nawocki jest absolwentem Politechniki Warszawskiej. Kończy jeszcze studia na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego. Będzie pisał pracę magisterską na temat efektywności ruaru i rozwiązań komunikacyjnych na Trasie W-Z. W Kombinacie Robót Drogowych pracuje, jako kierownik zespołu budów. W ławie pod filarem słupowym po stronie północno-wschodniej przejścia podziemnego przy Targowej zabetonował butelkę po „Extra-Zytniej”. W konstrukcji przejścia podziemnego na Sienkiewicza, jest butelka po koniaku. Na Piotrkowskiej chyba będzie po szampanie...

Inż. Nawocki ma dodatkowo pół etatu w Kombinacie Budownictwa Komunalnego, jako kierownik robót strzałowych. Uprawnienia do samodzielnego prowadzenia prac inżynierskich przy użyciu bojowych środków minerskich uzyskał odbywając służbę wojskową. Mówią o nim, że zasłużył na miano największego w historii burzyciela Łodzi. Nie liczy domów, które wysadzał od początku budowy Trasy W-Z. Swoją robotę wykonuje z przekonaniem, że toruje drogę inwestycji, bez której nowoczesne miasto nie może się obejść. Inaczej nie mógłby przecież budować przejść podziemnych na Targowej, Sienkiewicza i Piotrkowskiej. Jego prawą ręką jest minier strzałowy Józef Drozdowski. Był górnikiem w Łęczycy. Inż. Nawocki sam go namówił do przyjazdu na budowę Trasy W-Z. Mówi o swoim strzałowym, że wyróżnia się poczuciem odpowiedzialności. To najważniejsza cecha wymagana od ludzi, którzy dostają do ręki materiały wybuchowe.

LUDZIE GULEJA

Pokrewne zadania rozbiórkowe mają brygady Wiesława Zomera, Jana Jonezyka i Bolesława Glinkowskiego, którymi kieruje majster Czesław Gulej. Tyle, że pracują mniej efektywnie, bez materiałów wybuchowych. Ściany starych domów rozszarpują linami stalowymi i ciągnikami. Nie mogą pozwolić sobie na luksus rozbiierania budynku cegła po cegle. Przecież miasto czeka na oddanie Trasy W-Z.

Niecierpliwą się też najwierniejsi kibice budowy: 66-letni Józef Sowa, emerytowany betoniarz z „Jedynki” (budował pierwszy wieżowiec na SDM, „co ludzie się dziwią, że ma takie cienkie ściany a stoi”), 72-letni tkacz Roman Nowak (Żeromskiego 46), 75-letni murarz Józef Pietrzak (Wapienna 45), 82-letni murarz Wojciech Krzyżanowski (Kościuszki 106) i 88-letni ślusarz Aleksander Blachowicz (Rojna 15). Przychodzą codziennie, bez względu na pogodę. Bacznie obserwują, zajątrą w każdą dziurę, nie przeoczą żadnej fuszerki. Jak im się nie podoba zaraz skarczą prezydentowi. Miał się z pyszną brygadziarzem, gdy zwrócił uwagę, że operator spychacza niszczy gąsienicą, dopiero co założoną pokrywę wjazdu do studzienki kanalizacyjnej przed Szpitalem WAM. Chcą, aby ich następcy równie solidnie pracowali, dbali o pożyteczne wydawanie każdej złotówki, szanowali cudzą i własną robotę. Budowniczości trasy tolerują więc seniorów, którzy z własnej woli przyjęli na siebie funkcję społecznych kontrolerów. Czasem tylko lycha koparki jakoś zakręci młynka w powietrzu. Długo potem wytrzepują piach zza kołnierzy...

O ludziach Guleja krążą legendy. Podobno w ruinach trafiają się prawdziwe skarby.

— Może byśmy co znaleźli — konstatuje nie bez nutki żalu majster — ale „laziory” są szybsze od nas. Wszystko szabrują, jak tylko ostatni lokatorzy się wyprowadzą. „Palestynę” na Główną zryli dokumentnie, bo mieszkańcy opowiadali, że po Zydach musiał gdzieś zostać wielki majątek. Gdy przyszłiśmy ten dom rozbiierać, wszystkie ściany były poprućte...

Raz zgłosił się ksiądz i w tajemnicy powiedział, że wie w którym miejscu jest skrytka z kosztownościami. Dobrze zamaskowany schowek był już, niestety, ogołocony... W jednym domu pod podłogą leżały trzy litry spirytusu, w litrowych butelkach, zalakowane. Na nalepkach monopolowych zachowała się data: 14 lutego 1952 roku. Przynieśli spirytus do pakarni. W nocy ktoś się włamał i skradł butelki...

NA PIOTRKOWSKIEJ...

Na Piotrkowskiej nikt się skarbów nie spodziewa, ale ta robota budzi respekt. Każdy wie, że Piotrkowska ma dla Łodzi szczególne znaczenie. Cokolwiek dotyczy tej ulicy natychmiast wywołuje żywe zainteresowanie w całym mieście, zaraz wszyscy mają coś do powiedzenia. Budowa Trasy W-Z doszła do obrzeży „Pietryny”, dawno zamknięto Główną i Mickiewicza, a królowej Łódźskich ulic nie śmiano ruszyć. Planowano, że na przekładanie podziemnych instalacji komunalnych zamknę się całkowicie ruch kołowy. W ostatniej chwili wybrano kompromis. Zamknięto tylko zachodnią połowę jezdni i przeniesiono część instalacji szukując

KRÓLOWA BEZ TRONU



Najwierniejsi kibice Trasy W-Z. Zawsze z teczkami. Bez teczek i drugiego śniadania nie potrafią wyjść z domu.



Ostatnia faza budowy przejścia podziemnego na Sienkiewicza. Zakończenie robót konstrukcyjnych umożliwiło zamknięcie ul. Piotrkowskiej.



Józefa Wasiołka też fascynuje wielka budowa. Chce zatrzymać krajobrazy, które odchodzą.
Foto: Konrad TUROWSKI

się do przerwienia ich dalej. Dopiero gdy wszystko przygotowano do tej operacji, otwarto ruch zachodnią połową i zamknięto wschodnią. Aby nadrobić czas stracony na te manewry, pracowano na dwie zmiany. Ziemia była zamrażana prawie do głębokości jednego metra, rozbijali ją młotami pneumatycznymi. 28 lutego 1978, dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Wodociągowych i Kanalizacyjnych nr 1, inż. Stanisław Piątka, zameldował przewodniczącemu Rady Budowy Trasy W-Z, mgr Józefowi Smudzie:

— Moi ludzie skończyli swoją robotę...

W sześć tygodni wykonali zadanie, które według normalnych cykli mogliby realizować co najmniej dwa miesiące. Na liście najlepszych wpisali się kierownicy budowy: Leszek Rosala i Eugeniusz Hofman, brygadziści Henryk Grzybek, monterzy Edward Łasek, Bolesław Hamal, kopacze Dobrosław Adamczyk i Jan Pietrzyk, murarze Artur Szmajder i Władysław Czerkawski, kierownicy grupy robót Tadeusz Olbry i Bronisław Pokorski oraz naczelny inżynier MPRWiK nr 1, mgr inż. Teresa Agopowicz. Tylko przez kilka godzin, w nocy z soboty na niedzielę, w rozległym rejonie Śródmieścia nie było wody...

Wreszcie jednak musiała zapadła decyzja o zamknięciu ruchu na ul. Piotrkowskiej. Bo jakże inaczej przystąpić do drażnienia wykupu dla przejścia podziemnego? Wydział Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi wydał więc zezwolenie od poniedziałku 2 maja, pod warunkiem, że póki będzie możliwe utrzymana zostanie komunikacja autobusowa, tj. linia „57”, kursująca od pl. Wolności do pl. Niepodległości. Wcześniej przesunięto przystanek po nieparzystej stronie ulicy za skrzyżowanie. Dla autobusów miał być zbudowany objazd z płyt betonowych ułożonych raz po wschodniej, raz po zachodniej stronie wykupu. Kierownik budowy mgr inż. Juliusz Jasiński wydał nawet w tej sprawie odpowiednie dyspozycje, gdy tylko Henryk Kobordo postawił znaki zakazu wjazdu przy Wigury i Roosevelta.

— Widać — pokpiwał później — że nasz Kobordo nie ma szczęścia. Tak ładnie pan opisał — wrzucił kamyczek do mego ogródka — jak 4 kwietnia 1977 roku zamykał Gdańską, a za trzy miesiące zmieniono decyzję i trzeba było ruch przywrócić.

Nieodwołalne, zdawało się, postanowienie w sprawie Piotrkowskiej, cofnięte już po dwóch dniach. Gigantyczne korki komunikacyjne tworzyły się bowiem w al. Kościuszki oraz na ul. Kilińskiego, dopiero co oddanej do ruchu po wybudowaniu północnej jezdni ul. Główniej i przejścia podziemnego przy ul. Targowej. Śródmieście było sparaliżowane. W godzinach szczytu przebiecie się samochodem spod „Centralu” do gmachu łódzkiej redakcji zajmowało pół godziny. Na al. Kościuszki jeszcze trwała rozbiórka domu zastanawiającego nowy gmach hotelu „Światowit”; na Kilińskiego auta wlokły się za tramwajami, od przystanku do przystanku... W tej sytuacji zdecydowano, że zamknięcie Piotrkowskiej stanie się możliwe dopiero po otwarciu ul. Sienkiewicza. Ale tu jeszcze ukladano warstwę izolacyjną na konstrukcji przejścia podziemnego. Mistrza budowy, Sławomira Łukaszuka, prowokowano do zakładów, że do końca maja nie zdąży ułożyć asfaltowej nawierzchni.

Zdażył. We wtorek 16 maja, ze skrzyżowania ulic Główniej i Sienkiewicza usunęto zapory i znaki zakazu wjazdu. 17 Wydział Komunikacji dał zezwolenie na zamknięcie Piotrkowskiej. W nocy, ze środy na czwartek, plac budowy ogrodzono wysoką siatką, rano sprowadzono wiertarki sprężarkowe i zaczęły się przygotowania do wysadzania nawierzchni.

Żadna koparka by jej nie ugryzła. Grubość jezdni dochodziła miejscami do 60 cm. Składała się z dwóch warstw bitumu, a pod nimi dużej, rzędowej kostki porfirowej na betonowej podbudowie. W takim „torcie” wiercenie jednego otworu na ładunek amonitu górskiego trwało do dziesięciu minut. Trzeba było wywiercić tysiąc otworów, aż do płaskowej podsypki, nasiąkniętej cementowym mleczkiem. Tak się kiedyś budowało sztywne nawierzchnie, na pełnowartościowym, tłuczyniowym betonie.

NOWY ROZDZIAŁ W HISTORII

Teraz etapami, po około 24 metry kwadratowe naraz, wysadzono 80-metrowy odcinek jezdni o szerokości 12 m. Zalane asfaltem szyny tramwajowe wycinano palnikami, po kawałku. Wreszcie weszły koparki. W 5-metrowej głębokości dole powstała konstrukcja przejścia podziemnego pod całą szerokością ul. Piotrkowskiej, z czterema wejściami. Przystanki tramwajowe na ul. Główniej zaplanowano naprzeciw „Centralu”, po zachodniej stronie skrzyżowania. Z obu przystanków zaprojektowano oddzielne wejścia, aby pasażerowie nie musieli przechodzić przez jezdnię...

Rozpoczął się więc nowy rozdział

w historii ul. Piotrkowskiej, która — jak pisze Anna Rynkowska w monografii poświęconej królowej łódzkich ulic — jest znana w całej Polsce, ale jeszcze niedawno, bo zaledwie 150 lat temu, była drogą wśród puszczy, zwaną traktem piotrkowskim...

Z tego samego źródła czerpie też informację, że w 1829 roku władze Królestwa Polskiego zaprojektowały tzw. trakt fabryczny prowadzący z Łowicza, przez Zgierz, Łódź, Pabianice, Zdunską Wołą i Sieradz do Kalisza. W 1834 roku zakończono budowę tego traktu na odcinku Piotrkowskiej. Wysypano go szabram, czyli tłuczonym kamieniem. W 1840 roku rozpoczął się rozwój ul. Główniej, najważniejszej arterii tzw. Nowej Dzielnicy utworzonej przez przyłączenie do miasta lasu rządowego, położonego na wschód od ul. Widzewskiej (dziś ul. Kilińskiego). W kilka lat później łodzianie jeździli tędy omnibusami lub furmankami do stacji kolejowej Rokiciny, łączącej Łódź z koleją warszawsko-wiedeńską...

W 1874 roku ruszyła sprawa wybrukowania ul. Piotrkowskiej, która wówczas, przy Główniej, miała szerokość 25 metrów. W 1892 roku prezydent Piętkowski pisał, przedstawiając władzom projekt ułożenia na Piotrkowskiej kostki porfirowej:

„Ul. Piotrkowska jest zabudowana dużymi domami, fabrykami i składami wyrobów fabrycznych, panuje tu stale w dzień i w noc, ożywiony ruch wozów naładowanych ciężarami, parowymi kotłami, maszynami, węglem itp. Ogółem po jezdni na ul. Piotrkowskiej przechodzi powyżej 20 tys. kół dziennie i przewozi się do 180 tys. pudów ciężarów...”

W 1893 roku magistrat zrezygnował z projektu wprowadzenia tramwajów konnych i opowiedział się za trakcją elektryczną. Wraz z szynami ułożono na betonowo-cementowym podłożu, drewnianą jezdnię, tańszą od porfirowej. Rychło okazało się, że sosnowa nawierzchnia pęcznieje w czasie deszczów i nie jest trwała. Mgr inż. Jan Dziadek pamięta, że kilka lat temu, gdy naprawiano fragment jezdni koło Urzędu Miasta, odkryto pod asfaltem resztki tej drewnianej nawierzchni. 29 grudnia 1898 r. ruszyła ul. Piotrkowską pierwsze tramwaje...

Kiedy wycofano tramwaje z Piotrkowskiej? W latach pięćdziesiątych jeszcze jeździli, pomalowane na zielono (niebieskie kursowały na liniach podmiejskich). Skręcały w ulicę Narutowicza i Tuwima, przed „Grand-Hotelem” był przystanek. Całą historię łódzkich tramwajów ma w jednym palcu kierownik oddziału eksploatacji MPK, Waclaw Zochowski, nie bez racji obdarzony przydomkiem „tramwajowego Kadłubka”. Doskonale pamięta, że komunikację elektryczną wycofano z Piotrkowskiej dokładnie 1 maja 1960 roku. Nie było żadnych protestów. Od 1949 roku kursowała główna arteria miasta linia autobusowa „B”, przemianowana później na „57”.

18 maja 1978 r. zlikwidowano „57”. Łodzianie nawet się nie zorientowali. Pytali:

— Gdzie teraz jeździ „57”?

Osiemnaście autobusów obsługujących linię „57” skierowano na inne trasy, uruchomiono linię „P” — łączącą mieszkańców Widzewa-Wschód z pl. Dąbrowskiego. Być może w przyszłości jej trasa będzie biegła ul. Główną, aż na Retkinę i połaczy dwa wielkie osiedla, jak Trasa W-Z, gdy wybuduje się wiadukt kolejowy na przedłużeniu ul. Mickiewicza.

PRZYSZŁOŚĆ

Jaka przyszłość czeka ul. Piotrkowską? Generalny projektant Trasy W-Z, mgr inż. Czesław Pietrzak wyznaczył jej na skrzyżowaniu z ul. Główną szerokość 7 metrów ograniczoną tzw. serkami trawników wzdłuż torowiska MPK. Z Piotrkowskiej nie będzie skrętoń w lewo. Trzy i pół metra dla jednego pasma ruchu ma wystarczyć, aby w ciągu godziny przejechało przez skrzyżowanie 900 samochodów. Drugie tyle będzie swobodnie skręcać w prawo. Ruch mają regulować światła sygnalizacyjne.

Ale coraz liczniejsze są głosy opowiadające się za utrzymaniem wjazdu na nowe skrzyżowanie tylko od strony południowej i wprowadzeniem zakazu ruchu kołowego na całym odcinku ul. Piotrkowskiej, od pl. Wolności aż do ul. Główniej. Taką też koncepcję przedstawił do rozważenia swoim czytelnikom „Głos Robotniczy” zapytując 16 maja: „Promenada, czy przelotowa arteria?”

W latach sześćdziesiątych próbowano zamienić Piotrkowską w promienadę spacerowo-handlową, zakazując ruchu kołowego w soboty i niedziele. Szybko z tego trzeba było się wycofać. Od tamtego czasu sytuacja jednak się zmieniła. Rozbudowa miasta sprawiła, że chcą nie chcą Piotrkowska stała się królową bez tronu, straciła niepodzielny prymat w łódzkim układzie komunikacyjnym. Nie wywołało już większych perturbacji znaczne ograniczenie ruchu samochodów, wynikające z wprowadzenia zakazów przejeżdżania skrzyżowań na wprost. Może więc rzeczywiście zamknięcie się Piotrkowskiej?

KONRAD TUROWSKI

UMRZEĆ na własny WIDOK?



Tak się zaczęło: 16 marca, na jednej z rzymskich uliczek, o godz. 9...

Foto: Archiwum

Mnożyły się specjalne wydania gazet, wozy policyjne, helikoptery patrolowały ulice i autostrady, gdzie wybuchła przemysłowa podżuczona bomba, w Rzymie, Mediolanie, Genui padali od kul politycy, dyrektorzy „Fiata”, „ktwóści „białych” i „czerwonych” — chrześcijańskich demokratów, Włoskiej Partii Komunistycznej, w Turynie toczył się proces „historycznych przywódców” CB, na mediolańskim Piazza Duomo — przed wspaniałym portalem katedry, która widziała koronację Napoleona i legionistów Dąbrowskiego, raz po raz ktoś rozrzucił ulotki „za”, to znów „przeciw”, w większości publicznych szkół i wyższych uczelni profeszory dawno przestali widywać w ławkach swoich uczniów protestujących w parkach i na ulicach przeciw wystawianiu stopni, a w południe, w godzinach tradycyjnej sjeisty, przy kawie, nianych stolikach znajomi utalili się pytaniem: Niente di nuovo — nic nowego?

PARALIŻ

Tego roku wiosna i tutaj, w „bućcie Europy”, była inna, niż zwykle, jakaś zimna, jakby się bała czegoś, tak samo jak niechętni turyści, ledwie widoczni na kamiennej plaszczynie „salonu Europy” — placu św. Marka w Wenecji, w podcieniach galerii Wiktora Emanuela w Mediolanie, pod kopułą Bramanteo w Santa Maria delle Grazie, przed zszarzałymi z kolorów dziełami Wielkiego Leonarda — „Ostatnią wieczerzą” w klasztornej refektarzu, czy wreszcie w obwiszonych najświetniejszych płótnami, z owianym tajemnicą obrazem Mantegny — „Martwy Chrystus”, salach muzeum Brera...

I tak już było od z górą półtora miesiąca. Dokładnie przez 55 dni, od tamtego, w którym na wąskiej uliczce w Rzymie rozpoczął się nie tylko osobisty dramat Aldo Moro. Jedyne co jakiś czas Włochy wstrząsły oddech, jak choćby wtedy, gdy któryś tam z rządu komunikat brygadystów wskazał skute łodem, położone wysoko w Abruzzach Jezioro Duchessa, jako miejsce — po wykonaniu „wyroku w procesie ludowym” — porzucenia zwłok porwanego polityka, przewodniczącego Demokracji Chrześcijańskiej. Później, gdy ta informacja, podżuczona do redakcji jednego z najpoważniejszych włoskich dzienników — „Il Messagero”, okazała się kolejnym bluffem odwracającym uwagę policji, a może i próbą zakrojonej na wielką skalę politycznej prowokacji, pojawiły się niki ślady optymizmu. W jednej z rozmów z człowiekiem dobrze „siedzącym” w tutejszych sprawach usłyszałem taką wykładnię sytuacji:

— Nie, to się nie może zakończyć najgorszym. To po prostu nie leży w charakterze Włochów. Porwanie? Tak. Okup? Oczywiście — i to niezmiernie wysoki. Skompromitowanie polityczne? — Tak — to przede wszystkim. Szantaż mający na celu uwolnienie tzw. historycznych przywódców Czerwonych Brygad — możliwe, ale chyba mniej, bo w myśl zasad „brygadystów”, ten, kto trafi do więzienia, przestaje się liczyć i założyciel Brigate Rosse — Renato Curcio, choć w turyńskim procesie demonstruje swoje rękome przywódco, praktycznie nie ma już najmniejszego wpływu na organizację...

Takie same, lub zbliżone opinie dało się słyszeć w pogwarkach gości przebywających w mediolańskim hotelu „Cairò”. Może to w jakiś sposób tłumaczyło ich, mimo wszystko, spokój, nadzieję, że „dobrze się skończy”?

Rzeczywiście — tak do niedawna jeszcze tutaj było. W maju 1975 roku włoska policja podała, że na przestrzeni jednego roku terroryści dokonali łącznie 8 porwań — wszystkie z myślą okupu. Zresztą dostali go, „inkasując” w zamian za uprowadzonych — 16 miliardów lirów czyli około 20 milionów dolarów. Rok 1976 zapoczątkował prawdziwą lawinę uprowadzeń, rosły też „ceny”: w 1977 roku członkowie „BR” uprowadzili w Genui jednego z najpoważniejszych armatorów — Piero Costę i uzyskali w zamian za jego uwolnienie 1 miliard lirów okupu. Policja sądzi, że pieniądze z tej ostatniej akcji posłużyły m. in. do technicznego zorganizowania porwania Aldo Moro, która to akcja „kosztowała” — zdaniem policyjnych ekspertów — co najmniej 300 milionów lirów. No tak, ale teraz — szczególnie tej wiosny 1978 roku — jest zupełnie inaczej. Coraz częściej padają strzały. Głina członkowie aparatu administracyjnego, urzędnicy sądowi, dziennikarze — wśród nich zastępca naczelnego redaktora „La Stampa”, Carlo Caselagnò, padają od kul działaczy chrześcijańskiej demokracji, aktywiści Włoskiej Partii Komunistycznej. Bomba umieszczona w hali fabrycznej Bomba umieszczona w hali fabrycznej pracodawcy robotników, od strzałów bojówki ponosi śmierć robotnik turyńskiego „FIATA”, Enrico Angello, aktywista komórki WPK, w pobliżu mediolańskiej Porte Nuova, u schodów domu, gdzie mieszkał, pada od kul jeden z szefów tutejszej policji — Francesco Di Cataldo... Po każdym z takich zamachów brygadziści nie omieszkują uzasadnić swo-

jego czynu. Do którejś z redakcji trafia „komunikat” z taką frazeologią: „Atakujemy w serce państwa, uderzamy i likwidujemy, rozpraszamy się napędową reorganizacją państwa wielokapitałistycznego”. Czy rzeczywiście — tylko kapitalistycznego państwa? Czy o to idzie? A może o coś zupełnie innego?

Wszystko to odbywa się w biały dzień, przy otwartej kurtynie życia największych miast pośród ulicznego ruchu, wśród tłumów przechodniów, strumieni pędzących samochodów, mimo policjantów, wszelkiego rodzaju miejskich i prywatnych strażników. Są strzały, padają zabici i ranni. I jest strach.

Wieczorem wyludniają się ulice, bo najbezpieczniej i taniej — filizanka „capuccino”, kawę z pianką kosztuje ok. 1000 lirów — siedzieć w domu i oglądać program nadawany przez kilkanaście stacji pracujących na różnych kanałach. Na wszelki przypadek trzeba się jednak nauczyć nowych „przykazań”. Tak więc: nie wrzucać papierów do ulicznego kosza, bo policjant może pomyśleć, że jest to kolejny komunikat „BR”; (kosze na śmieci to ulubiona skrytka pocztowa Czerwonych Brygad), nie zaczepiać „od tyłu” znajomego, a już, broń Boże, nie przykładać do jego pleców dwóch palców, bo pomyśli, że to rewolwer i sięgnie po broń, którą nosi sam dla pewności; jeśli jesteś w banku, a musisz skorzystać z chusteczki do nosa, to w żadnym przypadku nie sięgaj po nią do wewnętrznych kieszeni ubrania; jeśli coś kupujesz i zbliżasz się do kasy — trzymaj ręce „na wierzchu”.

— A jeśli już to wszystko wiesz, pożyłeś trochę z terrorem — powiedziano mi, ale tylko pół żartem — masz prawo umrzeć na własny widok...

Wreszcie się jednak stało, o czym nikt nie chciał nawet myśleć, a w przeddzień rzymski dziennik popołudniowy „Vita Serra”, komentując osławiony już „komunikat nr 9” Czerwonych Brygad oznajmiający o wykonaniu „wyroku” na Aldo Moro, pisał:

„Jak deski ratunku chwytamy się chwiejnej hipotezy, że wszystko to jest przemysłową strategią terroru psychologicznego, mającego sparaliżować i tak już nadwątlone mechanizmy władzy, odporności społeczeństwa...”

W jednej z rzymskich kwater zadzwonił telefon. Celowo zmieniony głos oznajmił, że na via Caetani, a kwadrans dalej w kierunku Rzymu, zaparkowano zaminowany samochód. O godz. 13.30 policja rozpoczęła akcję. Z zachowaniem najwyższej ostrożności przystąpiono do otwierania wiśniowego Renaulta-4. Najpierw wydobyto plastikową torbę z drobiazgiem ze złota — jakiś łańcuszek z medallionem, zegarek. Wreszcie odrzucono szafirowy koc okrywający fotela i bagażnik. Policjant zdołał tylko wykrztusić:

— Tam jest człowiek...

O godzinie 14-tej agencja prasowa nadała pilne depeze z Rzymu:

„Znaleziono ciało Aldo Moro. Samochód z zabitym przewodniczącym Chrześcijańskiej Demokracji terroryści — młoda dziewczyna o blond włosach i krępy mężczyzna, jak to podają przypadkowi świadkowie — zaparkowali w połowie drogi między siedzibą Chrześcijańskiej Demokracji a centralą Włoskiej Partii Komunistycznej. Terroryści znikli bez śladu”.

KONSTRUKTOR

Z siedzib Chrześcijańskiej Demokracji na placu Gesu i centrali Włoskiej Partii Komunistycznej przy ulicy Botteghe Oscure nie przedostały się na zewnątrz choćby najdrobniejsze informacje, komentarze do finału agonii, która trwała 55 dni. Tylko place i ulice włoskich miast wypełniły się gniewnym tłumem. „Musimy się z tym uporać”, „Uważaj — prowokacja”, „Terror — Faszyzm — Nie przędzie” — wołały transparenty. Tak, tym razem ulica była jednomyślna nie tylko w składaniu kwiatów w miejscu „ostatniej stacji drogi krzyżowej” — jak pisała prasa — włoskiego polityka.

Wtedy też wypłynęło jeszcze jedno pytanie, na które odpowiedź jest chyba kluczem do wszystkich zdarzeń składających się na „godzinny terror” paraliżującego włoskie państwo wiosną 1978 roku. Tym pytaniem jest: dlaczego?

Śmierć człowieka jest faktem, nad którym można tylko w milczeniu pochylić głowę. W tym jednak przypadku byłoby to o wiele za mało, nie tylko z tego względu, że jego twarz, fotografia, nawiąsk obiegły cały świat, trafiły na okładki największych i najpoważniejszych periodyków, że poruszyley ludzi. Będąc jeszcze tam, chodząc po ulicach włoskich miast, włączając się w pogwarki przy kawiarzanych stolikach, biorąc do ręki nadzwyczajne wydania „Il Messagero”, „La Stampa” czy „Il Popolo” punktujące najnowsze wydarzenia na scenie dramatu człowieka i społeczeństwa, starałem się sam odnaleźć klucz do szfry, tego ataku, który od samego początku nie był zwykłym kidnapingiem, lecz — jak ochrzcili go sami brygadziści — uderzeniem w serce państwa.

Jego biografowie skrupulatnie odnotowali, że pochodził z południa Włoch, urodził się w drobnomiejszczyńskiej rodzinie żyjącej w miasteczku Maglie pod Tarento. Ale oczywiście nie to jest najważniejsze, jak i to, że od młodości związany był z katolickimi organizacjami politycznymi należąc do studenckiej „Fucini” uważanej za szkołę przyszłych przywódców włoskiej Demokracji. To, co chyba najistotniejsze w przydomku nadanym przez włoską opinię publiczną dwóm ludziom — komunista Togliattiemu i właśnie Moro: „fotus politicus” — polityków samych w sobie. Nie sądzę jednak, by i to miało wyznaczyć drogę tego człowieka, nawet nie fotel prezydenta Republiki Włoch, na którym by zapewne zasiadł po ustąpieniu prof. Leone. Najważniejsze było chyba to, że Aldo Moro w swoich politycznych poczynaniach i koncepcjach był zawsze realista, chłodno i bezstronnie oceniał sytuację kierując włoską chadecją w najtrudniejszych dla niej chwilach. Pomijając z konieczności wiele szczegółów z jego politycznej biografii, chciałbym zwrócić uwagę na to, że nie kto inny tylko Moro, pierwszy wśród chrześcijańskich demokratów, dostrzegł głębokie przemiany w strukturze politycznej społeczeństwa włoskiego, jego przesuwanie się na lewo, do czego obiektywnie przyczyniły się: tak skostniała machina państwowa, niedołężna administracja, rozdmuchany apa-

rat biurokratyczny, jak i — to w pierwszym rzędzie — kryzysowa sytuacja ekonomiczna, daleka od „dolce vita” końca lat pięćdziesiątych, a dająca o sobie znać 1.700 tys. bezrobotnych, przede wszystkim młodziem. Moro domaga się więc „wpuszczenia świeżego powietrza do zamku, w którym ułokowała się DC”, następnie głosi potrzebę „okazania uwagi Włoskiej Partii Komunistycznej”. Po wyborach w roku 1973 pójdzie jeszcze dalej wskazując na niezbędnosć „jasnej, lojalnej i konstruktywnej „konfrontacji” z Włoską Partią Komunistyczną, która jest żywą częścią włoskiej, trudnej demokracji”. Nieco później, wraz z sekretarzem partii DC — Zaccagninim pójdzie w swoich sformułowanych politycznych jeszcze dalej, uwzględniając, że sytuacja jak i potrzeby obiektywnie nakazują „przy zwarantowaniu władzy chadecji, uznanie konieczności wkładu parlamentarnego Włoskiej Partii Komunistycznej w rządzenie państwem”. Jest powszechnie wiadoma rzecz, iż nikt inny tylko właśnie Moro odegrał decydującą rolę w zawarciu porozumienia programowego — stało się to w lipcu ub. roku — które po raz pierwszy wprowadziło włoskich komunistów do większości parlamentarnej, by w marcu bieżącego roku, po poskromieniu prawicowego skrzydła własnej partii, doprowadzić do akceptacji przez DC układu z Włoską Partią Komunistyczną. Francuski dziennik „Le Monde” tak skomentował posunięcia programowe przewodniczącego włoskiej DC: „On patrzył dalej, już wtedy, gdy utworzono koalicję centrolewicową. Powiedział wtedy — należy rozszerzyć bazę ludową państwa o komunistów. A na kongresie chadecji w Rzymie stwierdził: „Przyszłość nie całkiem jest w naszych rękach. Minęły dwa okresy naszej historii. Otwiera się trzeci rozdział...” Korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Rzymie — Waldemar Kędaj donosił ze stolicy Włoch w kilka godzin po odkryciu wiśniowego R-4 na via Caetani: Moro szedł naprzód dostrzegając, jak żaden z innych włoskich burżuazyjnych polityków, obiektywna konieczność. W przełomowym momencie, kiedy stał się protagonistą „trzeciego etapu” był wręcz niezbędny. I właśnie wtedy znikł ze sceny politycznej, porwany, a potem zamordowany przez Czerwone Brygady”.

W czym interesie była więc ta śmierć?

Kto na niej chciał wygrać, a kto może już przegrał? Takich i podobnych pytań odnoszących się nie tylko do wewnętrznej sceny politycznej Włoch z wiosny 1978 roku — warto pamiętać, że kraj ten jest członkiem NATO — jest dziś znacznie więcej i nie tylko o domowe problemy „buta” Europy tutaj chodzi...

Może w tym tkwi odpowiedź na pytanie: dlaczego?

CIEŃ

Wydaje się, że pora odejść od potoku informacji bezpośrednio związanych z jednym z największych uderzeń terrorystycznych w ośrodek władzy, jakim jest niewątpliwie uprowadzenie, następnie zamordowanie przewodniczącego włoskich chadeczek. Odrwać się trzeba od wiadomości i spekulacji napływających z „buta Europy”, choć są niezmiernie frapujące. Bo choćby taka depeza nadana przez oficjalną agencję prasową ANSA, sugerująca, że bezpośrednio wykonawcą „wyroku” na Aldo Moro miał być terrorysta znany organom bezpieczeństwa całej Europy pod pseudonimem „podróżujący komiwojażer śmierci”. W rzeczywistości nazywa się on Gustavo de Vuona, ma 38 lat i — podobno dosyć ściśle związany z sycylijską

i amerykańską mafią. Wreszcie — jakie to dziwne, że mimo wszechogarniającej obecności policji, terroryści nie tylko mogli spokojnie wydać swoje „komunikaty”, lecz równie spokojnie zaparkować ów makabryczny samochód w ruchliwym punkcie Rzymu? A co zrobić z wiadomością, że dopiero teraz, w gruncie rzeczy przez przypadek — który to już z rządu? — odkryto w Turynie, w mieście, w którym toczy się proces tzw. „historycznych przywódców” Czerwonych Brygad z Renato Curcio na czele, jedną z głównych baz „BR”, a w niej liczne dokumenty, w tym listę polityków mających być następnymi celami terronu, broń, materiały wybuchowe...

Wydaje mi się, że wiele do myślenia dają choćby tylko fragmenty komentarzy opublikowanych 10 maja przez dwa o odmiennych orientacjach politycznych dzienniki, a mianowicie „Corriere della Sera” oraz komunistyczną „Unitę”. Wielonakładowy „CDS” stwierdził:

„Czerwone Brygady należy rozbić nie tylko pod względem organizacyjnym. Trzeba im usunąć spod nóg grunt solidarności i werbunku. Obok tych tak dyskusyjnych środków nadzwyczajnych, należy ustalić metody walki z przestępczością tzw. „białych kolnierzyków”, ze skandalicznosćą postaw, a to dotyczy nie tylko państwa, lecz przede wszystkim klas uprzywilejowanych. Z sondażu „CDS” wynika, że tylko dwu lekarzy na stu w deklaracjach podatkowych przyznawało się do prawdziwej wysokości zarobków. A jakże ostro — ale tylko do średnio i nisko zarabiających — jest aparat fiskalny, jak umie szczegółowo „rozliczyć” każdy tysiąc lirów, a równocześnie „wielkodusznie” traktuje lawnych i tych ukrytych miliardów. Jak tutaj mówić o solidaryzmie, o utożsamianiu się z państwem?”

A teraz wyjątek z komentarza „Unity” — oficjalnego organu Włoskiej Partii Komunistycznej, dziennika o nakładzie idącym w setki tysięcy egzemplarzy:

„Demokracja włoska wytrzymała wiele, ale nie będzie trwała w nieskończoność, jeśli nie przystąpi do radykalnego usunięcia słabości państwa włoskiego, nie dokona głębokiej odnowy klasy rządzącej i nie usunie rządzących przejawów niesprawiedliwości społecznej”.

Kiedy byłem we Włoszech, z całym honorami „przynależnymi” gwiazdki, choć w niezbyt chlubnym towarzystwie funkcjonariuszy policji skarbowej (jest tutaj tego rodzaju policja) odlatywałam z rzymskiego Fiumicino — Sophia Loren. Cel podróży — Paryż, gdzie czekał już jej małżonek, reżyser Carlo Ponti. No i miliony dolarów wywiezione nielegalnie do Francji i Szwajcarii, ulokowane na zakodowanych kontach bankowych.

Co bardziej wnikliwi obserwatorzy nie dają się jednak zwieść tym — przynajmniej, niekiedy fascynującym sensacyjnością, np. w wili państwa Pontich policja odkryła zbiór dzieł sztuki, m. in. waz etruskich, wartości 300 miliardów lirów — porozem. Korzenie społecznego kryzysu, choroby trawiającej „but” Europy, dające o sobie znać nie tylko przejawami anarchii czy terronu tkwią bowiem znacznie głębiej, aniżeli ukryte w sejfach szwajcarskich banków miliony włoskich „nietykalnych”.

W Neapolu doszło do publicznej manifestacji członków bandi przemycających papierosy. Protestowali przeciwko celnikom utrudniającym im „pracę”. No cóż, na południe od Rzymu sytuacja na rynku pracy jest szczególnie trudna. Ocenia się, że w samym Neapolu z kontrabandy żyje ok. 80 osób... W latach 60-tych mówiono, że życie jest piękne i łatwe we Włoszech, szła szeroka fama o „dolce vita”. Ale już początek obecnego 10-letnia dał znać o początku końca tego boomu. W roku 1976 produkcja przemysłowa Włoch wzrosła o 11 proc., inflacja lira osiągnęła 22 proc. W roku następnym było nieco lepiej, bo inflacja spadła do 17 proc., ale za to produkcja przemysłowa zwiększyła się tylko o 1 proc. Mówi się dziś — i nie kwestionuje tej opinii nikt — że Włochy w pewnych dziedzinach w przemyśle wykorzystują ledwie 30-40 proc. mocy wytwórczych. W taki sposób dał o sobie znać kryzys, o którym dziś mówi się, że jest zjawiskiem już nie przejściowym, lecz sięga struktury gospodarki kapitalistycznej, przede wszystkim najbardziej rozwiniętych krajów Zachodu. Do tego, w przypadku Włoch, trzeba jeszcze dołączyć paraliż aparatu władzy, przestarzałe formy i metody działania, biurokrację, której przerosł wywodzi się jeszcze z czasów niesławnej pamięci „Duce”...

Gordyjski węzeł problemów społecznych, politycznych i gospodarczych. I ludzie w tym młynku podkręcanym przez terror, osaczeni przez chwytilive hasła obalenia tego wszystkiego, niszczenia dla zniszczenia. A co będzie potem?

U PRZYJACIÓŁ

W żadnym kraju na świecie nie wydaje się tyle książek, co w Związku Radzieckim. W samym tylko 1976 roku wyszło tutaj ponad 84 tys. tytułów, w nakładzie blisko 2 mld egzemplarzy. W żadnym kraju mieszkańcy nie mają też tak ułatwionego dostępu do książki — ponad 180 milionów obywateli radzieckich ma do swej dyspozycji 360 tysięcy bibliotek przechowujących w swych księgozbiorach łącznie 3,3 miliarda egzemplarzy. Czytanie stało się w Kraju Rad powszechnym nawykiem, częścią obywatelskiego wychowania wdrażanego od najmłodszych lat. Polowa wydawnictw radzieckich zajmuje się publikacją literatury dla dzieci i młodzieży. Co roku ukazują się w ZSRR przeciętnie dwa tysiące książek dla najmłodszego czytelnika o łącznym nakładzie ponad 260 milionów egzemplarzy. Obok autorów rodzimych pojawiają się na półkach książki pisarzy zagranicznych. Do szczególnie popularnych należą klasyki literatury młodzieżowej — Defoe, Swift, bracia Grimm, Verne, Cooper, London, Dickens.

Zainteresowanie literaturą piękną jest w ZSRR ogromne i choć rocznie na 100 mieszkańców wydaje się ponad 600 książek i mniejszych publikacji z tej dziedziny, popyt jest stale większy od podaży i wydawnictwa na prostu nie mogą nadążyć z publikowaniem poszukiwanych pozycji, stało się już bowiem powszechną tradycją, że każdy od dziecka gromadzi swą własną biblioteczkę.

Znaczną pozycję w planach wydawniczych stanowi literatura obca. I tak np. tylko w ciągu dwóch lat, 1975—1976, wydano w ZSRR utwory 6 tys. zagranicznych autorów o łącznym nakładzie ok. 145 milionów egzemplarzy. Wśród wielu inicjatyw wydawniczych mających na celu popularyzowanie literatury obcej do cenniejszych należy „Biblioteka literatury światowej”. W serii tej ukazało się 200 tomów, z czego 137 przypada na literaturę zagraniczną — obejmujących arcydzieła światowego piśmiennictwa o łącznym nakładzie 60 milionów egzemplarzy. Książki zagranicznych pisarzy można znaleźć w każdej najmniejszej nawet bibliotece. Największym zbiorem może się pochwalic Wszechzwiązkowa Państwowa Biblioteka Literaturoznawcza w Moskwie posiadająca już cztery miliony książek i wzbogacająca co roku swą kolekcję przeciętnie o 40 tys. nowych pozycji.

* * *

„Doświadczenie przychodzi z wiekiem, lecz bywa, że wpływ lat staje się nielaskawy dla zdobytej sumy wiedzy. To zastrzeżenie odnosi się jednak tylko do tych pisarzy, którzy zatraca świeżość spojrzenia na życie, przestają przysłuchiwać się głosom ludzi, odrywają się od rzeczywistości i natury. Aleksy Arbużow, zarówno 35 lat temu, jak i dziś był i jest nadal człowiekiem wyjątkowo wrażliwym na wszelkie przejawy życia, umiającym zawsze w nich dostrzec coś pojonującego i inspirującego. To wszystko przetwarza w artystycznym kształcie ofiarowując widzący — pisze na łamach „Sowieckiej Kultury” radziecki dramaturg Afanasij Salyński o swym przyjacielu, Aleksym Arbużowie, który obchodzi 70-lecie urodzin.

Na scenach radzieckich teatrów trwa nieustannie festiwal twórczości Arbużowa. Niezmiernym powodzeniem cieszą się zarówno jego dawne sztuki, jak i najnowsze, takie jak „Lata wędrowek”, „Irkucka historia”, „Opowieści Starego Arbatu”, „W tym dobrym, starym domu”, „Wieczorne światło”, „Starmodna komedia”. Także za granicą utwory autora „Tani” najczęściej reprezentują radziecką dramaturgię. Jego subtelne, nie pozbawione nuty melancholii, pełne humoru, a zarazem liryzmu sztuki zyskują zainteresowanie widzów w różnym wieku i z różnych środowisk.

Aleksy Arbużow nie ograniczał nigdy swej działalności w służbie radzieckiej sceny do własnej twórczości. Od lat jego życiowa pasja jest przekazywanie wiedzy swym następcom, młodszemu pokoleniu dramaturgów. Wielu wybitnych twórców wyszło z prowadzonego przez niego w latach trzydziestych studia; również i obecnie zajmuje się kształceniem młodych.

* * *

Związek Artystów Plastyków Rosyjskiej Republiki Federacyjnej przykłada wielką wagę do sztuki i pracy budowniczych kulturalnego życia i pracy budowniczych Magistrali Bałkańsko-Amurskiej. Prezentowane dzieła: obrazy, rzeźby, norytety robotników i inżynierów, pejzaże przedstawiające piękno ziemi syberyjskiej, to olon odwieczny plastyków na budowie magistrali. W najbliższym czasie wystawie obejrze mieszkaniec Jakucka, Ulanude, Charkowa, a potem publiczność moskiewska i leningradzka.

W Związku Radzieckim organizuje się wiele podobnych ekspozycji, na których prezentowane są dzieła artystów cierpliwych twórców inspirowanych wiodącymi na wielkich budowach syberyjskich. Wyjazd w twórczym na wschód kraju stał się już tradycją, nieodłącznym elementem radzieckiego życia kulturalnego. Stanowią one interesującą i zwykle bogatą w artystyczny plyn formę wizerunków z pracą i życiem narodu. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić panoramy sztuki radzieckiej bez dzieł tematycznie związanych z Syberią.

Na zakończonej w ubiegłym tygodniu sesji NATO w Waszyngtonie prezydent Carter zapowiedział rozszerzenie militarnego zaangażowania Paktu Północnoatlantyckiego w rejonie Afryki. Chodzi tu, jak wiadomo, o wspólne akcje militarne państw bloku atlantyckiego przeprowadzone pod pozorem „udzielania zachodniej i afrykańskiej odpowiedzi” na rzekomo „radzieckie i kubańskie zaangażowanie wojskowe w Afryce”. Miałyby to być akcje na wzór ostatniej militarnej interwencji NATO w Zairze.

Kwestia jest jednak bardzo delikatna i skomplikowana z względu na postkolonialne zaangażowanie i zróżnicowane interesy członkowskich krajów sojuszu atlantyckiego na kontynencie afrykańskim. Francja choćby jest militarnie, politycznie i ekonomicznie zaangażowana aż w kilku krajach afrykańskich: w Czadzie, Mauretanii, Zairze, Dżibuti i Libanie Południowym (1300 żołnierzy w akcji ONZ). Kraje członkowskie NATO obawiają się również militarnej dominaty Amerykanów w ramach proponowanej „afrykańskiej siły interwencyjnej”. Jak również niebezpieczeństwa wciągnięcia do przypadkowych awantur. Tak czy inaczej, Francja, Anglia, Belgia i RFN — te kraje w pierwszym rzędzie, nie chciałyby być pewnego pięknego dnia wyparte przez Stany Zjednoczone z zajmowanych od lat pozycji w Afryce.

Idea „sił interwencyjnych” w Afryce nie jest nowa, była lansowana co pewien czas w różnych wariantach i odkładana „na później”. Prezydent Carter eskumował ją na ostatniej sesji NATO z okazji powstania ludowego w Zairze. Zdając sobie sprawę z trudności zmontowania takiej „siły”, USA już od dawna dąży do podporządkowania sobie poszczególnych państw afrykańskich amerykańskiemu dyktatowi ekonomicznemu, uzależniając gospodarkę tych krajów od międzynarodowej wspólnoty walutowej. Jaskrawym przykładem tego manewru jest właśnie Zair. Oto grupa dziesięciu krajów zachodnich (Francja, Belgia, Anglia, USA, RFN, Włochy, Kanada, Japonia, Iran i Arabia Saudyjska), inwestujących w Zairze, wyraziła życzenie (na prośbę USA), by reżim Mobutu uprzywilejował wreszcie swoją gospodarkę, nim otrzyma dalszą pomoc Zachodu, poddając ją kontroli Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Mobutu wyraził zgodę. Zeby właściwie zrozumieć jakiej strategii służy to działanie, trzeba wiedzieć co to jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Stworzony w ostatnim roku II wojny światowej z inicjatywy i pod egidą USA, rzekomo w celu wzajemnego udzielenia kredytów należącym doń krajom, stał się wkrótce bronią zagranicznej polityki Waszyngtonu, organem ekonomicznego nacisku. Nawet komentatorzy polityczni na Zachodzie wyrażają pogląd, iż w bogatym arsenale świata kapitalistycznego nie ma bardziej skutecznej i bardziej skutecznej broni niż Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW). Jest to instytucja nie tyle bankowa czy finansowa, ile polityczny instrument współczesnego systemu imperialistycznego, kontrolowany i w znacznym stopniu finansowany przez Stany Zjednoczone. W ciągu 34 lat,

które minęły od chwili stworzenia MFW na konferencji w Bretton Woods, w USA, stał się on tak wpływowym, iż ani jeden rząd w świecie kapitalistycznym nie może podejmować pieniędzy w prywatnych bankach czy też Międzynarodowym Banku Rekonstrukcji i Rozwoju (MBRIR), jak również zaciągać pożyczek od innych krajów, bez sankcji Międzynarodowego Funduszu Walutowego. A ponieważ handel międzynarodowy rozwija się tak szybko, iż ani jedno państwo nie może istnieć bez zagranicznego kredytu, przeto MFW stał się wpływowym arbitrem w narodowym i politycznym życiu swoich krajów członkowskich, mieszając się do ich spraw wewnętrz-

skich, a przede wszystkim wśród Europejczyków z Zachodu, zrodziło się podejrzenie, że politykę MFW dyktują Stany Zjednoczone. Z biegiem czasu te podejrzenia przerodziły się w pewnik. Warto nadmienić, iż jedna z podstawowych zasad statutu mówi o sporządzaniu wszystkich dokumentów Funduszu w języku angielskim. Dopiero w latach 60-tych wprowadzono do tej zasady pewne zmiany. Kontrola USA nad MFW już od samego początku była bardzo szeroka w związku z zasadą, iż centralny aparat Funduszu powinien się znajdować „na terytorium kraju członkowskiego do najwyższej kwoty wkładu”. Podczas rozmów i dyskusji nad tym punktem statutu MFW, amery-

MIĘDZYNARODOWY FUNDUSZ WALUTOWY

INSTRUMENT POLITYKI ZAGRANICZNEJ USA

nych, udzielając poparcia różnym grupom nacisku i naruszając chwiejną równowagę burżuazyjnych instytucji demokratycznych.

Już od samego początku USA miały w swym ręku efektywną dźwignię kontroli MFW w postaci systemu wysokości wkładów. Jeszcze w Bretton Woods w 1944 roku powstało wiele sporów z powodu wkładów poszczególnych krajów członkowskich MFW, ponieważ wysokość tych kwot określa stopień kontroli nie tylko nad Funduszem, lecz również nad Międzynarodowym Bankiem Rekonstrukcji i Rozwoju. Ani jeden kraj nie może zostać członkiem MBRIR, i nie podporządkowując się jego regulom. Jak informuje brytyjski dziennik „The Guardian”, formułę określającą wysokość kwot opracowano pierwotnie w amerykańskim ministerstwie finansów w 1943 roku. Głosiła ona co następuje: „Formuła powinna uwzględniać dane o handlu międzynarodowym i rezerwach walutowych. Powinna także zapewniać Stanom Zjednoczonym kwotę rzędu 2 i pół miliarda dolarów, w przybliżeniu dwa razy mniejszą dla Anglii i takiej kwoty dla Związku Radzieckiego i Chin, które to kwoty zagwarantują im odpowiednio — trzecie i czwarte miejsce w ilościowym indeksie kwoty” (ani ZSRR, ani Chiny nie są członkami MFW — red.). Przyjęty system kwot foruje Stany Zjednoczone daleko do przodu przed innymi krajami członkowskimi MFW. Ponadto Stany Zjednoczone uszeregowywały sobie prawo weta we wszystkich sprawach dotyczących zmian w kwotach. W konsekwencji Fundusz na przestrzeni całej swojej historii nie podjął choćby jednej decyzji wbrew woli Stanów Zjednoczonych.

Szerog czynników powoduje, że Fundusz zajmuje pozycję proamerykańską. Choćby dyrektorem Funduszu jest zawsze Europejczyk z Zachodu (wynik „nieoficjalnego porozumienia”, iż prezydentem Międzynarodowego Banku Rekonstrukcji i Rozwoju jest zawsze Amerykanin), co najmniej trzy z ośmiu wiodących stanowisk w aparacie MFW zajmują Amerykanie. W 1949 roku na stanowisko zastępcy dyrektora Funduszu został powołany oczywiście także Amerykanin. Ta tendencja, jak podaje autor pracy o historii MFW, K. Horsfield, „miała taki żalony finał, iż wśród wielu krajów członkow-

kańska delegacja poinformowała, iż Kongres nie poprze instytucji Funduszu, jeśli jego siedziba nie będzie ulokowana w USA. Poza tym, Amerykanie nie zgodzili się na żadne inne miasto poza Waszyngtonem. Na tej decyzji, korzystnej oczywiście tylko dla USA, zaważył fakt, iż „w Waszyngtonie pracownicy Funduszu będą mieli swobodny dostęp do dokumentów i materiałów dotyczących ekonomiki wielu krajów”. Ow „łatwy dostęp” do informacji o gospodarce narodowej poszczególnych krajów członkowskich Funduszu jest bez wątpienia jednym z głównych wymogów, jakie stawia on swoim członkom. W konsekwencji MFW, a zatem i Stany Zjednoczone, ma w swojej dyspozycji obszerną, unikalną informację o ekonomice wszystkich krajów świata kapitalistycznego.

Nie dziwnego, iż w tej sytuacji kraje naszego obozu nigdy nie wyrażały chęci należenia do MFW. Rzecz w tym, iż w praktyce Fundusz żąda od państw prowadzących gospodarkę planową o wiele bardziej obszerną informację ekonomiczną, niż od krajów z gospodarką opartą na inicjatywie prywatnej. Dysponując tak obszerną informacją o finansowych problemach wszystkich krajów członkowskich, Fundusz ma nie skrupulew możliwości sporządzania „analiz mających pomóc krajom członkowskim w wypracowaniu linii odpowiadającej polityce Funduszu”, tj. polityce, która niekoniecznie odpowiada interesom każdego danego kraju.

Z pojawieniem się w końcu lat 50 i początkach lat 60 niepodległych państw afrykańskich wpływ Funduszu na finansową działalność jego członków wzrósł jeszcze bardziej. W wielu wypadkach urzędnicy MFW niemal osobiście decydowali o ekonomicznych losach poszczególnych krajów członkowskich. Obecnie Fundusz ma w Waszyngtonie własny instytut przygotowujący pracowników centralnych banków i ministerstw finansów. Absolwentów tego instytutu, nafaszerowanych ideologią MFW, wysłała się do krajów Trzeciego Świata, żeby budowali tam trwałe fundamenty działalności Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

JERZY CZECH

(C)

W BELGRADZIE I PRADZE ROZBROJENIE I ZBROJENIE

Z licznych, jak zazwyczaj, wydarzeń tygodnia na arenie międzynarodowej najważniejszą rangę miały dwie wizyty: Edwarda Gierka w Jugosławii i Leonida Breżniewa w Czechosłowacji. Obie służyły rozwinięciu przyjaźni i współpracy.

„Z satysfakcją pragnę stwierdzić — mówił I sekretarz KC PZPR w czasie spotkania z J. Broz Tito na Brioni — że stosunki między Polską i Jugosławią stale się pogłębiają we wszystkich dziedzinach życia, że godnie kontynuujemy tradycyjną polsko-jugosłowiańską przyjaźń, ugruntowaną w latach bohaterskiej walki z hitlerowskim faszyzmem, umocnioną wspólnymi nam celami budowy socjalizmu, przyjaźnią opartą na wzajemnym szacunku i zaufaniu, bliską poprzez wspólne naszym narodom umówienie wolności i pokoju”.

We wspólnym komunikacie radziecko-czechosłowackim czytamy natomiast: „Życie potwierdziło trwałość sojuszu radziecko-czechosłowackiego, który niezawodnie służy sprawie o-

bronii interesów narodowych obu krajów, umocnieniu jedności i zwartości wspólnoty socjalistycznej, umocnieniu pokoju europejskiego i powszechnego”.

W obu rozmowach: belgradzkiej i praskiej podejmowano oczywiście także problemy międzynarodowe, a przede wszystkim problem rozbrojenia. Niebezpieczeństwo intensyfikacji wyścigu zbrojeń nie minęło. Nadal forsują go kompleksy polityczno-militarne Zachodu. Dlatego konieczne jest zahamowanie tego niebezpiecznego procesu, zmniejszenie nagromadzonego zapasów broni i przejście do rozbrojenia. Pomocna w tym może być sesja specjalna Zgromadzenia Ogólnego NZ, która też powinna przybliżyć zwołanie światowej konferencji rozbrojeniowej.

Ten najaktualniejszy z tematów — rozbrojenia występował również najczęściej w toku rozmów waszyngtonskich min. A. Gromyki z prez. Carterem i sekretarzem stanu Vance. Dyskutowano przede wszystkim o ograniczeniu zbrojeń strategicznych — niezbyt długiej już, lecz skompliko-

wanej liście spornych problemów, których nierozstrzygnięcie dotąd uniemożliwia zawarcie porozumienia SALT II.

Czy rozmowy te przyniosły postęp? Na tak postawione pytanie odpowiedzmy słowami min. Gromyki: „Jeśli nawet osiągniemy niewielki postęp w kierunku pożądanego celu — jest to zjawisko pozytywne”. Można zatem domniemywać, że nie udało się jeszcze usunąć wszystkich rozbieżności i znaleźć rozwiązania, możliwych do przyjęcia przez obie strony. Zdaniem obserwatorów — na drodze do porozumienia są jeszcze „dwa lub trzy problemy”.

Porozumienie przy temacie skomentujemy teraz waszyngtonską konferencję NATO, która odbywała się na najwyższym szczeblu. Przyjęto tam zasadę równoległego działania w dwóch kierunkach: dążenia do porozumień rozbrojeniowych i umacniania potencjału militarnego państw zachodnich. Na sesji ustalono długoterminowy program wspólnych wysiłków wojskowych i „zadowoleniem” stwierdzono gotowość niemal wszystkich państw NATO zwiększenia wydatków w budżetach na te cele „o ok. 3 proc. pod względem wartości realnej”. U podstaw jego opracowania legło założenie, że „dzisiaj możemy sprostać militarnemu wyzwaniu, ale

IRAN

OD TEBRYZ PO ZAHIDAN

Iran przeżywa obecnie ciężki kryzys ekonomiczny i społeczny. Najbogatsze zasoby naturalne kraju znalazły się w rękach zachodnich monopolistów, notując wzrost inflacji i bezrobocie. Nie może powstrzymać fal niezadowolonych mas.

Położony w strategicznie ważnym rejonie kuli ziemskiej Iran jest mocnym atutem w grze kapitalistycznych mocarstw Zachodu. Po arabsko-izraelskiej wojnie w 1973 roku, kraje zachodnie zawarły z rządem irańskim tajne porozumienie, na mocy którego Iran kontroluje obszary zasobne w ropę naftową na wybrzeżu Zatoki Perskiej, gdzie wydobywa się 60 proc. światowego wydobycia ropy. Począwszy od 1974 roku wydatki na zbrojenia w Iranie idą w miliardy dolarów; do 1980 roku wyniosą one aż 5 miliardów dolarów. Już dziś pracuje w Iranie około 25 tys. amerykańskich specjalistów wojskowych.

Oficjalna prasa Iranu głosi: „Do końca bieżącego stulecia Iran będzie jednym z pięciu wielkich mocarstw”. W konfrontacji z tym rzeczywistość wzbudza głęboki niepokój społeczeństwa. Według ostatnich danych zachodnich instytucji bankowych ok. 54 proc. irańskich rodzin znajduje się u progu nędzy. Choćbyż trzy czwarte ludności pracuje w sektorze gospodarki rolnej, Iran pokrywa zaledwie 7 procent krajowego zapotrzebowania na produkty żywnościowe, 93 procent produktów żywnościowych importuje się z różnych krajów; w 1977 roku wydatkowano na ten cel 2 miliardów dolarów. Rząd nie podjął dotąd żadnych kroków, żeby poprawić sytuację, chociaż posiada na to środki.

Niewłaściwy charakter nosiła industrializacja kraju, która znacznie umocniła w Iranie pozycję Zachodu. Rządowy kurs ekonomiczny wywołał gwałtowny wzrost cen oraz przyspieszył inflację, która sięga dziś 30 proc. rocznie. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy czynsze za mieszkanie wzrosły o 200 proc., warunki życia ludności pogarszają się nadal. W Iranie 80 proc. ludności nie umie ani czytać ani pisać, jedno łóżko szpitalne przypada na 8 tys. mieszkańców, jeden lekarz — na 3200 osób i jeden dentysta na 16 tys. mieszkańców. Źródła oficjalne podają liczbę 3 tys. wieźniów politycznych, jednakże dane międzynarodowych organizacji mówią o większej liczbie wieźniów. W więzieniach przebywa ponad tysiąc duchownych. Podczas ostatnich wyborów w kraju, ujawniły się duże wpływy duchowieństwa, i nie jest to przypadek. W tym ogromnym kraju o powierzchni 1648 tys. km kw., podzielonym na 14 na wpółautonomicznych prowincji zamieszkałych przez różne grupy etniczne, w systemie politycznym wykluczającym jakikolwiek inny sposób wyrażania opinii poza oficjalno-rządowym, wpływy religijne mają głębokie korzenie.

To nie przypadek, iż największe zaburzenia miały miejsce w miastach, a głównie w Tebrizie, Teheranie, Kumie, Szirazie, Jerd i Zahidanie. W kraju już od dłuższego czasu tliło się zarzewie napięcia, jednakże ostatnie wydarzenia, które wstrząsnęły całym Iranem, świadczą, iż reżim stanął w obliczu najbliższego ruchu mas ludowych na przestrzeni ostatnich 20 lat. Atak na władzę prorządowej partii Rastachiz (Partia Odrodzenia Narodowego), niszczenie wielkich banków i sędziw towarzyszy handlowych, starcia demonstrantów z policją i wojskiem w „szukaniu na wole narodu kontynuowania walki. Bardzo zaniepokoleni ewentualnością następstw wybuchów gniewu ludności Iranu, amerykańscy strażnicy polityczni uważają za konieczne popieranie rządu w jego usilnych dążeniach do kokietowania tzw. kół umiarkowanych. Na razie jednak nie udało się znaleźć wśród „umiarkowanych” nikogo, kto byłby skłonny do takich rozmów.

W. SŁAWSKI

9

recenzje

WIZJONERZY I BUNTOWNICY

Jako anglistka ze szczególną sympatią śledzę inicjatywę Wydawnictwa Literackiego przybliżająca polskiemu czytelnikowi poezję anglosaską. Po dwuletnich trudach Dylana Thomasa (1974), Teda Hughesa i Sylwii Plath (oba w 1975) oraz Davida Herberta Lawrence'a (1976) otrzymaliśmy w początkach ubiegłego roku antologię poetyckiej literatury amerykańskiej „Wizjonerzy i buntownicy”. Tłumaczka wierszy i autorka wstępu Teresa Truszkowska traktuje tomik jako antologię autorską koncentrującą uwagę na poetach związanych z San Francisco (beat poets) oraz z Black Mountain College (projectivists). Człowiekiem, który z amatorsztwa bądź zawodowo śledził tradycję poezji amerykańskiej, antologia przedstawia nie tylko gust autorki, ale także, a może przede wszystkim, ten nurt poezji wschodzącej, który wypływał bezpośrednio z Whitmana i przez niego kontynuował tradycję poetycką, a następnie, w rzeczywistości amerykańskiej. Nurt ten zaprezentowany został głównie wierszami powstałymi w latach pięćdziesiątych, a więc w tej swojej fazie, kiedy jawnie i spektakularnie (w czym dużą rolę odegrała Truszkowska) przedstawił się przed czytelnikiem T. S. Eliota i

Jego koncepcji „uczonej”, kosmopolitycznej poezji. Nie jest to nurt poetów intelektualnych i akademickich, jak Richard Wilbur, ani też poetów chłodnym okiem badających ciemne korytaryze historii i psychiki, jak to czynił Robert Lowell. Jest to poezja buntownicza i wizjonerska tak w sensie przyjmowanych postaw społeczno-ideowych, jak i zasad estetycznych. Z jednej strony nawiązuje do proroczych i mistycznych aspektów twórczości Whitmana, z drugiej, mimo niezgody na teraźniejszość, jak Whitman wciąż poszukuje możliwości pogodzenia człowieka ze światem, który go bezpośrednio otacza. Od Whitmana przez Williama do Olsons i zgrupowanych wokół niego poetów związanych z Black Mountain College, nurt ten cechuje szacunek dla miłości, przedmiotów i procesów oryginalnego życia. W antologicznym zestawieniu dwóch prądów tradycji whitmanowskiej we współczesnej poezji amerykańskiej, dla polskiego czytelnika ważniejsza jest ich możliwość obszerna prezentacja niż wywołanie zasług poszczególnych poetów i „sprawiedliwy” podział obfiteści książki. Wierzę, że na przykład „beat poets”, z perspektywy czasu, znaćca więcej jako tak zwany „głos pokolenia” niż pojedynczo, jako artystyczne indywidualności — nie znalazł się wśród nich poeta naprawdę dużego formatu.

Antologia Teresy Truszkowskiej przedstawia nie nowelki, ale obszary poezji amerykańskiej, którego kontury z dystansu prawie dwudziestu lat są dobrze widoczne. Oczywiście dominantą tego krajobrazu jest programowy zwizek poezji z realiami życia i kultury amerykańskiej. Tutaj też leży zasadnicza trudność tłumaczenia. Wystarczy dla ilustracji zastanowić się nad różnicą w zakresie użycia i znaczenia wulgarnych słów. W kontekście polskim używającego w określonej grupie społecznej, ale nie definiuje jego postawy ideowej, nie pasuje go na buntownika przeciw obowiązującym konwencjom społecznym i estetycznym. Jak to się działo szczególnie w latach 50-tych i 60-tych w USA. Tłumacz musi rozwiązać problem znalezienia polskich odpowiedników wulgaryzmów, które z jednej strony nie straciłyby energii tzw. „menyngów” słów, z drugiej zaś nie klasyfikowałyby języka wierszy jako tylko łupnowego. W dodatku słownictwo polskie w tej dziedzinie nie odznacza się bractwem.

Trudności przekładu można dalej ilustrować rozważając koncepcję języka jako tworzącego literackiego. W tłumaczonych utworach język z reguły utożsamia się z energią — energią indywidualnych emocji (beat poets) lub bardziej bezosobową energią wzrostu, tworzenia i wszystkich procesów życiowych (projectivists). W konsekwencji wyeksponowana zostaje dynamiczna funkcja rytmu (beat). W wielkich poematach Ginsberga jak „Skowyt” czy „Kaddish” oddziaływanie rytmu jest

nieomal hipnotyzujące. Rytm pozwala pokonać dystans między stanem najwyższego napięcia uczuciowego, z którego wiersz się narodził, a niezangażowaną postawą słuchacza czy czytelnika. Rytm reguluje długość oddechu i tempo uderzeń pulsu, a przez takie fizjologiczne działanie ma odwrócić w słuchacza ów stan emocjonalny leżący u początków wiersza. Znalezienie ekwiwalentów rytmicznych w języku tłumaczenia, którego akcent wyrazowy jest zupełnie inny, i w którym przeznaczone słowa wielosylabowe utrudniają zastosowanie na przykład sekwencji sylab „centowanych” — eto dalszy problem dla tłumacza.

Najciekawszy spośród zamieszczonych w antologii wierszy to bezwzględnie „Howl” Ginsberga — poemat manifest. Jego ideologiczne i estetyczne znaczenie dla pokolenia dojrzewającego po II wojnie światowej było niekiedy porównywane do roli jaką w kształtowaniu świadomości pokolenia dojrzewającego po I wojnie odegrała „Ziemia jakawa” Eliota. Teresa Truszkowska, tak jak wcześniej Wacław Iwanicki (Tematy, 1964, z. 9), tłumaczy ten wiersz jako Skowyt. Mimo iż były próby tłumaczenia tytułu jako „Wściekłość”, „Skowyt” o wiele trafniej oddaje wieloznaczność oryginału. W słowie wycie odbieramy przede wszystkim ogólne znaczenie: wycie jako czynność w ogóle. Skowyt, jak angielskie howl, ma głównie znaczenie „jednostkowe: skowyt jako pojedynczy akt artykula-

„TAKA NOC NIE POWTÓRZY SIĘ WIĘCEJ”, A SZKODA...

Urokiwie, lubiane przez wszystkich piosenki międzywojennej Warszawy przypomniał nam ostatnio Teatr im. Jaracza prezentując na swojej rozrywkowej scenie „7,15” spektakl pt. „Taka noc nie powtórzy się więcej”. Słuchając dawno przebrzmiałych refrenów, zapomnianych melodii i minionych rytmów, obserwując zdarzenia tej jednej scenicznej nocy zadumaliśmy się nie tylko nad oczywistością stwierdzenia zawartego w tytule, ale i nad ogólniejszą, nieco, a dającą się egzemplifikować tym właśnie spektaklem sprawą, jaką z jego scenicznym istnieniem wiąże się nierozdzielnie, a mianowicie nad problemem dobrej rozrywki.

Przedstawienie „Taka noc nie powtórzy się więcej” jest składanką o tyle może nietypową, że jej autorowi (Kasper Stefanowicz) udało się z poszczególnych piosenek zbudować całość o wyraźnie zarysowanej fabule. Ta fabularyzacja właśnie czyni z „Takiej nocy...” widowisko nader zwarte i barczne (ale pozytywnie) dalekie od owych nużących, bo nie mających zazwyczaj końca koncertów estradowych. Jakież to jednak piosenki złożyły się na tę składankę. Prosiutkie rytmy, jeszcze bardziej proste rymy — a ile wdzięku! Aż chciałoby się zawołać: panowie, słuchajcie i ucicie się! Wszak każda z tych piosenek stanowi odrębną i zawsze zamkniętą całość, użeka i wrusza, śmieszny dobrym dowcipem

lub zdumiewa głębią lirycznej refleksji, każda z nich jest perłą w swoim gatunku stanowiąc przy tym doskonały materiał dla ciekawej interpretacji aktorskiej. Są w tych piosenkach rozmaite uczucia, wielkie i małe tragedie, wielkie i małe radości, uniesienia i lzy. Jest w nich obraz i klimat całej epoki w której powstały, jej gustów i upodobań, a nawet jej istotnych problemów społecznych. Analiza tych wykreowanych już przez lata na swoiste arcydzieła tekstów stanowiłoby dla historyków obyczajów i form towarzyskich, wzbogacając naszą wiedzę o epoce, o ten nie najważniejszy może, ale dopełniający jej obraz rozdział.

mimo wyraźnego cudzołóstwa i przywrócenia oka wskazującego także na pewien konieczny dystans, z jakiego dzisiaj słuchamy piosenek o uwodzicielskiej Filipinie, rozświecającej nieodparty urok pięknej pani Marcie, o zdeklasowanych arystokratkach i smutnych tajemnicach, fordanserkach, pucybatach i ulicznikach, o czarnych Mańkach i ich apaszowskich kochankach. Scenografie tyleż nastrojową ile funkcjonalną, bo pozwalającą na konieczne tu szybkie zmiany miejsc akcji zaprojektował Stanisław Bakowski.

Znakomicie spisali się wszyscy wykonawcy. Szczególną uwagę zwracają panie: obdarzona mocnym, nośnym głosem Małgorzata Rogacka-Wisniewska, która bardzo dramatycznie interpretuje postać niekochanej Mańki, Alicja Krawczykówna jako żalona, ale i bezwzględna Filipina, Arletta Włodarczyk łącząca w roli Loli dziecięcą jeszcze wdzięk podlotki z zalotnością „małej kobietki” i Alicja Zomer — dystygowanie piękna pani Marta, która chętnie zapomniałaby o swych nienagannych manierach i powadze, gdyby... Osobne, a równie serdeczne słowa uznania należą się Ewie Mirowskiej kreującej postać ulicznicy, która nie znajduje ku swemu rozczarowaniu większego powodzenia. Jakże łatwo było tutaj o przeszarżowanie! Wytrwała aktorka ustrzegła się przed nim prezentując olbrzymią kulturę sceniczną i

WSPOMNIENIA CARLOSA SAURY

Carlos Saura jest dziś najwybitniejszym reżyserem hiszpańskim, w rodzinnym kraju filmy swe realizującym. Laureat wielu festiwali filmowych, popularność swą zawdzięcza nie tylko autentycznemu talentowi. Jego filmy przyjmowane są jako wyraz sumienia współczesnej Hiszpanii, jako wyraz pierwotnych, skromnych jeszcze, bo ograniczanych przez cenzurę, prób obrachunków z frankistowską przeszłością. Najważniejsze filmy Saury mogłyby oglądać na naszych ekranach. „Polowanie”, „Mroźny peppermint”, „Anna i Wilki”, „Nakarmić kruki”, „Elizo, moje życie” i „Kuzynka Angelica” mają pewne wspólne cechy, w których można dopatrywać się określonych preferencji narracyjnych i stylistycznych i które można potraktować jako odwołanie określonego tropu pozwalającego ominiąć cenzury hiszpańskiej cenzury. Świat, w którym żyją, najczęściej

mieszkańcy, bohaterowie filmów Saury ma pozory ładu i spokoju. Zdarzenia w akcji tych filmów, pozbawione jakiegokolwiek próbu dynamizacji, powoli, krok za krokiem, ujawniają właściwe jego oblicze. Dominuje w nim obywatelski bez mała niepokój, skrywany za narzwanym mieszczańskim ładem. Duszna atmosfera, w której pograżeni są ludzie, przemawia ich kompleksami, zahamowaniami, strachami i dręczącymi wspomnieniami. Wspomnienie jest właśnie głównym formalnym i treściowym leitmotywem wielu filmów Saury. Stanowi pomost między przeszłością i teraźniejszością Hiszpanii. We wspomnieniach, którym dręczeni są bohaterowie jego filmów, szukać należy odpowiedzi charakteryzujących stan moralny współczesnego społeczeństwa tego kraju.

Do czasów wojny domowej powraca we wspomnieniach główny bohater filmu, Luis, który w swych przeżyciach kilkunastoletniego chłopca szuka odpowiedzi na pytanie, kim jest dźi. Hiszpania lat siedemdziesiątych przegląda się w zwierciadle przeszłości. Dość niezwykły i bardzo odważny pomysł reżyserski sprawia, że Saura uzyskuje zatarcie obu płaszczyzn czasowych i tym silnie eksplikuje tezę o wpływie tamtych lat na współczesny stan świa-

domości i moralności hiszpańskiego społeczeństwa. Pomysł ten polega na tym, że we wspomnieniach bohatera mały Luis ma postać Luisa dorosłego. Karkołomność tego zabiegu jest tylko pozorna, choć wyznać należy, że Carlos Saura i jego aktor, Jose Luis Lopez Vazquez, chodzą cały czas po linie. W tym odczuciu udało się to, co wydawało się niemożliwe. Ta wyprawa Luisa w kraj dzieciństwa jest niezwykle przejmującym komentarzem jego obecnej osobowości. I choć mógłby ten film być dziełem psychoanalizy, nie tę postawą jest wykładnią zainteresowań Saury.

W dzieciństwie Luisa jest czas pierwszej miłości, czas rodzinnych i szkolnych przeżyć oraz religijnych wątpliwości. W tym dzieciństwie jest też świat dorosłych, niezrozumiałych spraw polityki i wojny. Tamte lata nieświadomianych wówczas jeszcze obserwacji i doświadczeń zaważyły na dalszym życiu Luisa. Zrozumie to wówczas, gdy we wspomnieniu do nich powróci. To tylko historia jednego życia, wcale

„NIC MI NA ZIEMI POMÓC NIE MOŻE”

W listopadzie 1811 roku doszło do krwawej tragedii w podberlińskiej miejscowości rekreacyjnej nad malowniczym jeziorem Wannsee. Trzydziestoletni pisarz Henryk von Kleist stracił w ostojei zabił swoją przyjaciółkę Adolfinę Vogel, po czym popełnił samobójstwo. W porostawionym liście Kleist napisał: „Prawda jest, że nie mi na ziemi pomóc nie może”.

Znakomity reżyser Peter Stein, w którego inscenizacji mieliśmy ostatnio okazję oglądać „Księcia Homburga” w wykonaniu zachodniobierlińskiego teatru „Schaubühne am Halleschen Ufer” w ramach cyklu „Teatr telewizyjny na świecie”, potraktował utwór dramatyczny Kleista jako dramat rzeczywisty samego pisarza. Nim szereg to omówić, opragne stwierdzić, że możliwość konfrontacji rodzimej produkcji telewizyjnej z realizacjami zagranicznymi —

zwłaszcza w tak świętym wydaniu jak w przypadku „Księcia Homburga” Steina — jest dowiedzeniem niezwykle płodnym i celowym: chroni nas przed kompleksami, ale i przestrzega przed zbytym zadowoleniem z siebie... Kilka czynników złożyło się na to, że spektakl zachodniobierliński zaliczyć można do najciekawszych pozycji programowych, jakie oglądaliśmy ostatnio w Teatrze Poniedziałkowym. Przede wszystkim sam tekst dramatyczny. Przypomnijmy, że dość rzadko stykamy się z niemiecką klasyką literacką. Nie analizując bliżej przyczyn warunkujących wstrętność naszych reżyserów w stosunku do niej, konstatuujemy z zdumieniem, że ma ona dla nas smak swoistej egzotyki.

wokół spraw wojennych i jest niewątpliwie nosicielem pruskiego patriotyzmu, czy nawet nacjonalizmu. Chcąc wypowiedzieć się na temat współczesności, autor ucieka dla ostrożności w przeszłość, przemuszając akcję w rok 1675, kiedy to wojska elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma odnosi zwycięstwo nad Szwedami w bitwie pod Fehrbellinem nad Renem.

General rajtarii, książę Fryderyk Artur von Homburg, nie czekał rozkazu władcy zezwalającego atakować wroga, natarł samowolnie na Szwedów i rozniósł ich, zapewniając zwycięstwo Brandenburczykom. Elektor, choć docenia odwagę i sukces młodego dowódcy, stawia go przeciw sąd wojenny za niesubordynację. Pruska doktryna militarna nie uznawała w tym względzie żadnej pobłażliwości, książę Homburgu skazany zostaje na śmierć. W obliczu czekającej go absurdalnej egzekucji bohaterki kawalerzysta traci godność i żebro o życie. Ze stanu tego wyzwała go elektor. Każde samemu księcia zdecydować o tym, czy zwinął i powinien ponieść najwyższą karę, czy też należy go uniewinnić. Wobec szansy takiego wyboru zwycięża w księciu Homburgu poszanowanie wobec wpaływających mu od dziełstwa twardej zasad: uznaje się winnym i odzyskuje godność w oczach ukochanej ko-

zdarzenia i zwierzenia

KTO NIE LUBI KABARETU?

Mój pierwszy kontakt z pracą Ryszarda Marka Grońskiego „Jak w przedwojennym kabarecie” nastąpił za sprawą biuletynu księgarskiego „Nowości tygodnia”...

Minęło przeto parę długich tygodni zanim nową książkę Grońskiego zdobył dla mnie szef łódzkiej księgarni „Pegaz”...

W tym czasie przeczytałem parę omówień książki „Jak w przedwojennym kabarecie”...

bardzo atrakcyjna publikacja o zjawisku, które obrosło legendą. Groński — z wykształcenia historyk, poeta, autor kabaretowy — nie uległ wcale tej legendzie...

Wróćmy jednak do Gremia Urzędka go widać i wiodła nietypowa stylistyka tej książki...

doktorska. Jeśli to prawda — chwala Grońskiemu. Gdzie jest bowiem powiedziane, że praca doktorska musi być nudna...

A Gremi się zżyma: „...czy Groński (...) pisze i drukuje rzeczywiście naukową rozprawę, czy może jest to tekst przeznaczony do jakiegoś współczesnego kabaretu”...

Nie wiem, czy to jest praca doktorska czy nie, wiem, że jest to bodaj pierwsza próba obiektywnego spojrzenia na zjawisko międzywojennego kabaretu...

Groński przytacza diametralnie różne opinie, Gremi mu zarzuca niekonsekwencję. Groński cytuje autobiograficzne „Strachy” Ukniewskiej...

Jest zresztą w krótkiej re-

cenzi Gremia zabawna niekonsekwencja. Na początku zarzuca się Grońskiemu, że jego tekst nadał się do kabaretu...

Naprawdę nie wiem o co Gremiowi chodziło. Poza tym oczywiście, że nie lubi kabaretu...

Jak na jedną recenzję jest tu — moim zdaniem — za dużo złośliwość i uszczypliwość...

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH STANISŁAW KASZYŃSKI



Oto greckie błagają cię chóry: „Stasiu, wejdź do literatury!”

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski Tekst: Mieczysław Michał Szargan

lewym okiem

Prawie każdy wynalazek i odkrycie, kiedy jeszcze były nowe, stanowiły przedmiot kpki i prześmiewek...

Z tych to powodów nie odważymy się, broń Boże, uśmiechnąć czytając w „Przekroju” rewelacje o muzycznych roślinach...

Metodami ściśle naukowymi — jak czytamy — udowodniono, że rośliny „cierpią, cieszą się, oddychają i myślą”...

Jak rozmawiać z kaktusem?

żyjącymi w zupełnie innym, podziemnym świecie? W każdym razie ktoś tam opisał, że po kilku tygodniach „słuchania gry na skrzypcach rośliny są znacznie wyższe i silniejsze od tych, którym nikt nie przygrywał”...

„Trzeba do roślin przemawiać delikatnie — czytamy w „Przekroju” cytowane wywody uczonych, wymienionych zresztą z nazwiska, mówić o jej urodzie, o radości, jaką przynosi...

Możemy się śmiać z dziada, gadającego do obrazu. Nie śmiejący się jednak z babei, gadającej do kaktusa...

Piotr Niewiadomski, bohater słynnej w swoim czasie „Soli ziemi” Wiltłina wypędzał z izby psa przed przystąpieniem do pieszczoł z swą służką...

maciejki. Mendelsohn w okresie kielkowania wszystkiego Kto tak znakomicie wykształcił muzycznie nasze roślinitki?...

No cóż — jak nam zabraknie nazwów szlucznych, będziemy wysyłać na pola nasze orkiestry i wirtuozów...

Wtedy zaimmy się może problemem: co robić, na czym grać, jak przemawiać do ludzi, żeby byli zdrowsi, lepsi i szczęśliwsi?

ĆWIEK

propozycje

W „Litteraturnej Gazecie” radziecki pisarz Jarosław Golowanow napisał artykuł o... handlu. Bardzo mi ten artykuł przypadł do gustu...

Sprawa z cebulą już się wyjaśniła o tyle, że teraz jej nie brakuje, ale — pisze Jarosław Golowanow — minął rok, a on bezskutecznie oczekuje, iż dowiedzie się, kto nie pomyślał przed rokiem i jaka spotkała go za kara...

Jarosław Golowanow bardzo wnikliwie analizuje metody funkcjonowania handlu w swoim kraju i dzieli się z czytelnikami bardzo wieloma spostrzeżeniami...

PODANIE w sprawie GUZIKA

cała kolumna druku w „Litteraturnej Gazecie”. Jest tam też fragment poświęcony kolejkom. Autor dochodzi do wniosku, że w pewnych przypadkach, kiedy do sklepu przechodzą towary deficytowe...

Gdy tak sobie myślałem, przyszedł mi przyjaciel przychając gniewnie. Poprosiłem, aby usiadł. Dalem się czegoś napić chłodnego i zapytałem, co go tak zdenerwowało...

— Stary — powiedział — to zupełnie paranoja! Granda! E — machnął ręką — szkoda słów. Ale nie wytrzymał i opowiedział mi o swoim kłopotach...

Zamyśliłem się nad przeczytanym tekstem. Myśmę też zob-

jętnieli na kolejkę. Postanowiłsmi udawać, że „nie ma tej zabawy”, że o tej sprawie lepiej nie mówić...

Wydaje mi się, że najbardziej niebezpiecznym zjawiskiem w sensie społecznym jest samozadowolenie. Przedsiębiorstwa handlowe osiagając wymagane wskaźniki są zachwycone swą działalnością...

— Nie ma dodatkowych guzików — powiedział panienka. — To, co mam zrobić? — Napisać podanie!

i napisał podanie do „Pewexu” w sprawie brakującego guzika. Ludzie — mówił teraz sapiąc gniewnie — do czegośy doszli...

Niestety, w wielu przypadkach handlowanie zamieniał się w urzędowanie. Handlowców z prawdziwego zdarzenia zastępują urzędnicy handlu...

Warto może pamiętać, że wszelkie instytucje zostały powołane do życia, aby służyły społeczeństwu. Mniej więc zawrotów głowy od sukcesów, a więcej troski o klienta...

MARCIN RODAK

LIBRIS ODGŁOSÓW NAFTA. Napisał niedawno pewien dziennikarz — zaczyna wstęp do swojej książki „Nafta — problemy i perspektywy”...

PROSTO W GWIAZDY

Młodziom literatury „SF” zwracamy uwagę na książkę Bohdana Petekiego „Prosto w gwiazdy”. Jest to lektura akurat na wakacje...

MY I ONI

Polecamy rocznikowi statystycznym, jako lekturę, a już polecenie rocznika statystycznego, jako lekturę interesującą już u początku sezonu urlopowego...

„Rocznik statystyki międzynarodowej — 1977”. Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1977 (grudzień), str. 384, cena zł 50.

MAGAZYN kulturalny Nr 12

SYMPATIE I ANTYPATIE (II)



prof. ALEKSANDER JACKIEWICZ

Rys. Grażyna Skonieczna

REGAŁ PELEN BUBLI (5)

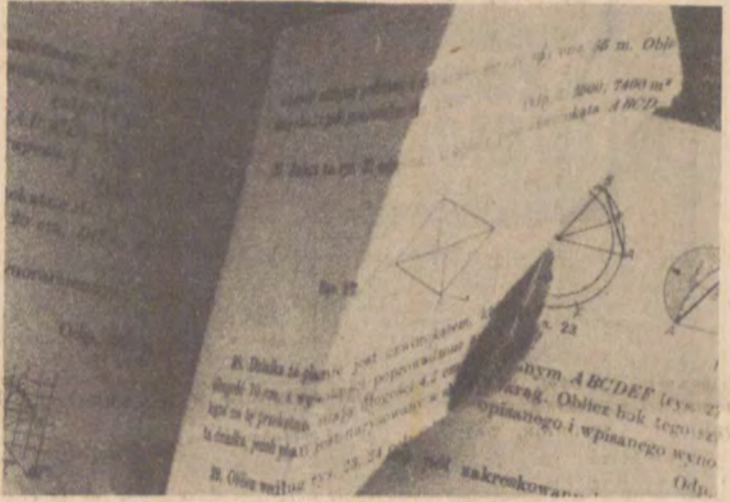


Foto: W. Parys

S. Białas, J. Lipczyński, S. Olczak: Zbiór zadań z matematyki dla szkoły podstawowej, kl. VIII. Wyd. Szkolne i Pedagogiczne, W-wa 1977, cena zł 16, s. 160-169.

DRUK: WSiP, Zakłady Graficzne w Bydgoszczy, zam. nr 3926/296-298, czerwiec — wrzesień 1977 r.

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ” świadczą usługi dla ludności



Autor

Niezbyt uważnie czyta nas „odgłosowy” Cwiek, (czyżby zaczął hoidalować starej feletonowej „metodzie” przekraczania faktów, bądź naginania ich do tezy)? Czcigodny Cwiek imputuje nam autorstwo zdania p. Z. Kasprzyk, która napisała („Magazyn” nr 9), że „bez względu na orzeczenie Szanownych Jurorów pozostanie na pewno członkiem — sympatykiem pierwszej w kraju Poetyckiej Spółdzielni Pracy”.

Przytoczyliśmy to zdanie, bo — jak wiadomo — reklama jest dźwignią handlu (i usług), a jedyna miarodajna opinia o ich poziomie wydawać mogą tylko ich klienci (zwykownicy). A klienci, podkreślając potrzebę istnienia PSP, chwalał pomysł. Wszysz za siebie nie jest, jak pisze Cwiek, „wydawane emokierom na śer niezbyt udanych utworów i ich autorów”. Po pierwsze, autorzy z własnej nieprzymuszonej woli decydują się „pokazać się światu”, co ma szczególną wyjątkowość. Dla tych, którzy proszą nas o poradę czy ocenę, otrzymujemy niebawem specjalny kącik w Spółdzielni. Rozszerzając wachlarz usług nie mamy jednak zamiaru wyręczać ogólnie szanowanych literatów w ich twórczości (np. pisząc dla nich rymowane listy...).

Na temat „Hygie Parku”, jednego spośród antenatów, których przypomniał nam p. Cwiek, wypowiedzieliśmy się jasno tydzień temu. Do takich antenatów — przeżytków burżuazyjnych wolimy się raczej nie przyznawać. Istnienie innych poprzedników nie zmienia faktu, że jesteśmy — jak słusznie zauważyła p. Kasprzyk pierwszą spółdzielnią (w tej branży).

PROTEST

Bomba neutronowa strachem nieludzkim na ludzi nowym, widmo neutronowe jak duch nad światem zawisło. Politycy trzymają swoje bomby w zanadrzu i palce na decyzjach, bomba w klatce zamknięta jak wielki potwór śmierci. Za nie już wszystkie bomby, nawet te nuklearne, broń „N” nieludzkim

PREZES
co tylko ludzi zabija. Wszystkie bomby zostaną, nie będzie tylko człowieka — ktoś wtedy będzie zwycięzcą?

Protestuję przeciwko bombom i przeciw wojnom na świecie. Pokój niech będzie przyszłością, zwycięzcą niech będzie człowiek!

29. IV. 78

RAJMUND MACHURA

Przełom maja i czerwca stał pod znakiem X ŁÓDZ KIEJ WIOSNY ARYSTYCZNEJ. Jej temat: tradycja i współczesność kultury robotniczej w wielkim mieście.

Otwarcie pierwszej części dzielnicowego Centrum Kultury na Bałutach (Rynek Staromiejski) — wielki koncert inauguracyjny z udziałem 600 artystów-amatorów — wystawy: „Klasa robotnicza w twórczości polskich artystów grafików” (63 prac 37 artystów z lat 1905-1974), „Łódź — portret miasta” (58 prac, głównie obrazów olejnych, plon konkursu, wśród uczestników zwróciła uwagę obecność młodych twórców), w Zgierzu „Pejzaż przedmieść robotniczych” (ogólnopolska), wystawa pokonkursowa na łódzka pamiatkę, wystawy plastyków - amatorów z Widzewa i Polowa — wystawy „Harnaś”, kabaretów, koncerty chórów, studentów, kapel podwórkowych, projekcje filmowe — tradycyjna „Majówka Widzevska” — tradycyjna baletka „Fajka” — tradycyjne prawykonywania utworów łódzkich kompo-



zytorów — oto niektóre atrakcje tegorocznej „Wiosny”...

Baletowa wiosna w Teatrze Wielkim: od 26 do 31 maja gościnne występy Teatru Narodowego z Pragi, Państwowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu z Permu i nowojorskiego Murray Dance Louis Company. Kolejny zagraniczny gość zawiązał do TW na początku czerwca: Macedoński Narodowy Teatr Opery i Baletu ze Skopje...

Od 2 do 15 czerwca łódzki Teatr Nowy prezentuje w Sofii i Rusie — podczas „Dni Dramaturgii Polskiej w Bułgarii” — trzy przedstawienia: „Operetkę”, „Dialog de passione”, „Egzamin”.

Głównym akcentem tegorocznej „NIEDZIELI W MUZEUM SZTUKI” (4 czerwca) było otwarcie wystawy dzieł 44 wybitnych polskich artystów, ofiarowanych z inicjatywy Muzeum Sztuki Międzynarodowemu Muzeum im. Salvadora Allende w Santiago Chile. Dwa inne pokazy (dawne sztuki zdobnicze i dzieł Pracowni Tkactwa Unikatowe łódzkiej PWSiP), konkurs „Tajemniczy obraz”, koncerty i kiermasze wypełniły program tradycyjnej imprezy — w ostatni dzień trwania Łódzkiej Wiosny Artystycznej „Jarmarku Robotniczego” w ogóle recha łódzkiej wiosennej kultury są coraz częściej filtry Muzyki z bogiem Merkurym...

Zbliżył się jubileusz łódzkiego Ratusza (obecnie Archiwum Miasta), który liczy sobie już 150 lat. Reperacji bez mała 100-letniego zegara ratuszowego podjął się mistrz W. Piaszkota z Brzezina. Projektantem pamiątkowego medalu jest P. Świątkowski. W przygotowaniu wystawa jubileuszowa.

Do 4 czerwca trwały Dni Piotrkowa Trybunalskiego, które w tym roku zbiegły się ze 400-leciem trybunału koronnego. Otwarto m. in. popielnicową wystawę ceramiczną „Upoczno 77”, wystawę o Ząglubiu Bełchatowskim, połączone ekspozycje plastyczne ze sprzedażą prac.

W końcu maja Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu zorganizował seminarium Klubu Pracy Twórczej. Wykłady poświęcono problemowi współczesnej plastyki, muzyki i poezji.

Z recenzji na temat „Ognistego ptaka” w łódzkim Teatrze Wielkim (w choreografii C. Drzewieckiego), zastanawiającej na temat zachwyty łódzkich recenzentów...: „Jakości układów solistycznych nieśety nie dorównuje wykonaniu Kazimierz Wrzosek (dwany nie miał wiele możliwości do zademonstrowania swych solowych umiejętności... Kazimierz Knol jest trochę ociężały, aby kreować złowieszcą, agresywną, szybką w ruchach postać Koscieja. Ewa Wyclichowska (Ognisty ptak), której choreografia dał piękne pole do popisu, nie skorzystała z tego w pełni, wykazując brak precyzji wykonania, nie najlepszy skok i niedostatkę w wykroczeniu. Trochę pasuje to przyjemność odbioru tego spektaklu”.

Czyżby recenzent „TRYBUNY LUDU” (nr 125) trafił do TW w „zły dzień”?

WIOSNA W KULTURZE STUDENCKIEJ



Foto: W. Dobroń

26-30 kwietnia: odbyły się III „Łódzkie Spotkania Jazzowe”, zorganizowane przez prężne Studenckie Stowarzyszenie Jazzowe w Łodzi. Festiwal był konfrontacją profesjonalistów, reprezentujących wszystkie kierunki polskiego jazzu. N/z: Vistula River Brass Band.

11 maja: ogłoszono wyniki konkursu na recenzję filmową, zorganizowanego przez Komisję Kultury ZL SZSP. Spośród autorów 43 prac nagrodzono 8, w tym 2 nagrodami specjalnymi ufundowanymi przez OPRF w Łodzi.

12 maja: pierwszy z cyklu Studenckich Wieczorów Operowych, zainicjowanego przez ZL SZSP wespół z dyrekcją Teatru Wielkiego, Po „studenckiej premierze”, „Wolnego strzelca” następną, w dniu 18 maja, była premiera „Księżyc” i „Ognistego ptaka”.



Foto: R. Lucyszyn

1-7 kwietnia: na zaproszenie ST „Pstrąg” występuje w Łodzi teatr uniwersytecki z CAEN (Francja) „LA TRIPE DE CAEN”. Francuscy goście pokazali „Matuzalema” i Golla i „Zakochanych starców” wg F. Scali, spektakl w konwencji comedia dell'arte, z którego pochodzi przedstawione obok zdjęcie.

18 kwietnia: rozstrzygnięto I Środowiskowy Konkurs Fotografii Studenckiej, zorganizowany przez AOK „Siódemki”. Prezentujemy dwa spośród nagrodzonych fotografów.

13 maja: na XV Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie (180 wykonawców z 20 ośrodków akademickich), jedną z nagród otrzymała grupa „Zezowaty piskorz” z Łodzi.

19-21 maja: Studencka Wiosna Artystyczna pod hasłem „Próba generalna”, będąca przeglądem i sprawdzianem inicjatyw i akcji podjętych w łódzkim środowisku w ramach VI Festiwalu Kultury Studentów PRL. W wielu klubach łódzkich osiedli akademickich prezentowały się grupy i zespoły teatralne, kabarety, zespoły muzyczne, pokazywano etiudy filmowe studentów PWSFTviT, zorganizowano Wolne Trybuny Kultury, „kawiarnie twórcze”. Finałem Akademickiego Święta Wiosny i podsumowaniem cennej akcji „Debiut” była impreza w nowo otwartym klubie „Tygrys”, podczas której zaprezentowano i uświetniono nagrodami najciekawsze indywidualności twórcze studenckiej Łodzi.

20-23 maja: polska prapremiera „SKRZYŻOWANIA” — wspólnej wypowiedzi artystycznej przygotowanej przez łódzki Teatr 77 wespół ze sztokholmskim Teatrem 9. Spektakl jest „głębokim dramatem pokazującym wykop pomiędzy dwiema społecznościami” (jak napisał jeden ze szwedzkich krytyków), ale także „całkowicie dobrowolną próbą współpracy, której celem jest konstruowanie rzetelnych przyjaźni i porozumień ponad granicami kultur, państw i systemów” (z wypowiedzi dyrektora Teatru 77 Zdzisława Hejduka). Na zdjęciu — scena z przedstawienia.



Foto: R. Lucyszyn

TADEUSZ GIGGIER

FRASZKI

CECHA

Cecha wazelinarzy: lekceważenie twarzy.

USTAPIENIE ZE STANOWISKA

Wyfrunął z fortuną.

PYTANIE

Krytyki oręż stępił się w porę-ż?

STOSUNKI

Stosunki dziś odmienne, lecz nadal często lenne.

SENSACJA Z ARGENTYNY

Jak się dowiedzieliśmy 1 czerwca 1978 roku o godz. 9.14 z programu I Polskiego Radia, polska reprezentacja piłkarska zjadła poprzedniego dnia, na obiad: salatkę rybną (przystawką), zupę pomidorową, pieczeń z buraczkami i ziemniakami purée oraz tort, a na kolację: szynkę z ananasm. Podwieczorku reprezentacja nie zjadła.

NASZE HASŁO NA MUNDIAL-78:

NIE DAJMY SIĘ ZWARIOWAĆ!



KIBIC

Rys. St. Ibis-Gratkowski